

Nr 4 (155) – B Rok 26

Lipiec-Sierpień 2020



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Dejneka, Ryszard Frączek, Maria Kalas, Jarosław Kowalczuk, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Razem z czasopismem ukazuje się seria książkowa Biblioteka „Wołania z Wołynia”.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

«Wołanie z Wołynia»

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T. code: POLUPLPR

~ ~ ~ ~

Jesteśmy na Facebook’u:

«Wołanie z Wołynia – Воляння з Волині»

<https://www.facebook.com/Wolanie/>

«Sursum corda»:

<https://www.facebook.com/Sursum-corda-254753281236024/>



SPIS TREŚCI

- s. 3: W.B. [ks. Władysław BUKOWIŃSKI, *Najważniejsza troska*
s. 4-7: Bogdan GANCARZ, *Może usłyszę to echo?*
s. 8: Czesław JANCZARSKI, *Sygnaturka*
s. 8-10: Ks. Witold KLIMKIEWICZ, *Wielki Syn Ziemi Wołyńskiej.
(Z okazji 50-lecia zgonu [1888-1938] kardynała Czackiego)*
s. 11-19: Ułaś SAMCZUK, *Wołyń. Powieść w trzech tomach,
tom II: Wojna i rewolucja. Wojna I*
s. 20-21: jg | hsz, Ks. Witold Kowalów *otrzymał nagrodę Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego*
s. 22-37: Małgorzata ZIEMSKA, *Pamięci wołyńskich strzelców.
W rocznicę Zbrodni Katyńskiej*
s. 38-42: Bp Marian BUCZEK, *Ks. prałat Ludwik Kamilewski – takim go zapamiętałem*
s. 43-45: Jacek DROZD, *Szlachta polska w ukraińskich województwach*
s. 46-48: Wacław HOLEWIŃSKI, *Trylogia ukraińska Józefa Łobodowskiego*
s. 49-51: Ks. Ludwik KAMILEWSKI, *Sytuacja Kościoła rzymsko-katolickiego
na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej i Ukrainie po 1946 roku*
s. 52-56: Ryszard FRĄCZEK, *Niewirków*

Poprzednie numery „Wołania z Wołynia”
z lat 2010-2020 w wersji elektronicznej
dostępne są m.in. pod adresami:

http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/
<https://kresy24.pl/archiwum-pisma-wolanie-z-wolynia/>

Uprzejmie dziękujemy za pomoc w digi-
talizacji archiwum naszego czasopisma
Śląskiej Biblioteczki Cyfrowej.


<https://www.sbc.org.pl/>

Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na
wszystkie listy. Przepraszamy.

Redakcja „Wołania z Wołynia”



Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w ramach
zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą.
Projekt Fundacji Wolność i Demokracja „Polska Platforma Medialna”.



Z życia Kościoła - З життя Церкви

NAJWANIEJSZA TROSKA

Najważniejszą jest troska o dzieci i młodzież naszą – o młode pokolenie polskie! Troska ta widnieje w życiu i w czynach polskich osadników wojskowych w sposób godny uznania i naśladowania.

Weźmy dla przykładu Dom Ludowy Osady Krechowickiej. Jest on przeznaczony przede wszystkim dla dzieci i młodzieży. Dzieci mają w nim szkołę, świetlicę i bibliotekę. Starsi osadnicy nie mają w nim własnego kąta dla siebie, bo dobrowolnie ustępują pierwszeństwa młodemu pokoleniu, które jest chlubą ich i nadzieją na przyszłość. Ileż to głębokiej treści kryje się w tym na poły żartobliwym powiedzeniu osadnika wojskowego, że na miejscu jednego starego osadnika przybywa Polsce czterech albo pięciu młodych! Jeśli nasi osadnicy tyle włożyli pracy i poświęcenia w budowę nowego kościoła na Karłowszczyźnie, to obok miłości Boga powodowała nimi miłość ku dzieciom swoim, troska o młode pokolenie polskie na kresach – troska zaiste najważniejsza!

Możemy być całkowicie spokojni o wychowanie dzieci tych polskich osadników wojskowych, co zbudowali nowy kościół na Karłowszczyźnie. Na wychowanie to składają się bowiem w zgodnej ze sobą współpracy: dom rodzinny, ożywiony ofiarną miłością Ojczyzny i gorącym przywiązaniem do wiary katolickiej, szkoła polska i kościół na miejscu wzniesiony. Pewni jesteśmy, że dzieci naszych osadników wojskowych otrzymają wychowanie dobre, nawet wzorowe, bo będzie to wychowanie prawdziwie polskie i katolickie.

Zdajmy sobie jednak sprawę z tego, że wiele, nazbyt wiele, dzieci polskich i katolickich na naszych kresach wschodnich

nie ma ani należytej opieki w domu rodzinnym, ani szkoły polskiej, ani kościoła w pobliżu. Kilka zaledwie razy w ciągu całego roku dzieci te mogą być w kościele. W takich warunkach dzieci nie otrzymują, bo otrzymywać nie mogą, wychowania prawdziwie polskiego i katolickiego. Z konieczności podlegają wpływom niepolskim i niekatolickim.

Poważnie zatroszczyć się powinniśmy o wychowanie tej, tak bardzo jeszcze na naszych kresach licznej młodzieży polskiej, co pozbawioną jest szkoły i kościoła. Co czynić należy, by młodzieży tej zapewnić wychowanie polskie i katolickie, tego nas uczą nasi dzielni osadnicy wojskowi, wnosząc przeznaczony przede wszystkim na szkołę Dom Ludowy Osady Krechowickiej i kościół na Karłowszczyźnie. Uczmy się od nich, że ze wszystkich trosk naszych najważniejszą jest troska o młode pokolenie polskie na kresach wschodnich.

W. B.

[ks. Władysław Bukowiński]

„Życie Katolickie” 1936 nr 44, s. 693.



Dom Ludowy w Osadzie
Krechowieckiej Fot. Archiwum

Pamięć - Пам'ять

MOŻE USŁYSZĘ TO ECHO?



Jestem przekonana, że to Matka Boża uratowała mi życie podczas rzezi. Przypomina mi o tym m.in. ten mały ryngraf z Jej wizerunkiem. Miał go na piersi por. Kazimierz Schaller, brat mojej dobrodziejki, w chwili, gdy poległ w 1919 r. w walce z Ukraińcami – mówi prof. Brygowa

Fot. Gość Niedzielny

– Codziennie, a szczególnie w Wielkanoc, dziękuję Bogu, że w trudnych momentach, po stracie bliskich osób, stawał na mojej drodze ludzi, którzy mnie wspierali. To symbol zwycięstwa życia nad śmiercią – mówi prof. Józefa Brygowa.

Niedawno skończyła 80 lat. Jako kilkuletnie dziecko w 1944 r. cudem ocalała z rzezi Polaków na Podolu, a tym, co zawsze dawało jej ukojenie w tragicznych chwilach i uskrzydlało w radosnych, był śpiew.

MOJE DZIECIŃSTWO TO STRACH

Prof. Józefa Brygowa, wieloletnia nauczycielka, mieszka na krakowskich Klinach od 17 lat. Przyjechała tu po nagłej śmierci ukochanego syna Andrzeja, aktora Teatru im. Słowackiego, by być bliżej jego grobu i zająć się wraz z owdowiłą synową wychowaniem wnuczki. Od razu włączyła się też w działalność wspólnoty parafialnej św. Rafała Kalinowskiego. Spoglądając na tę siwowłosą panią o szlachetnych rysach i pogodnym spojrzeniu, trudno się domyślić, że przeżyła

wiele tragicznych chwil. – Codziennie, a szczególnie w Wielkanoc, dziękuję Bogu, że w trudnych momentach, po stracie bliskich osób, stawiał na mej drodze ludzi, którzy mnie wspierali. To symbol zwycięstwa życia nad śmiercią – mówi prof. Brygowa. – Moje dzieciństwo to paniczny strach, a młodość to ciągły smutek i żal z powodu osierocenia. Jednak starszy wiek – choć też niełaskawy, ze względu na doskwierającą czasem samotność – rozświetla obcowanie z bliskimi – dodaje. Przez kilkadziesiąt lat nie była w stanie opowiadać o tym, co przeżyła w przedwiośniu 1944 roku. 6-letnia Józia mieszkała wówczas z rodzicami – Władysławem i Anielą Jamrozikami – oraz nieco starszym bratem Stasiem we wsi Palikrowy na Podolu, niedaleko słynnego klasztoru dominikanów w Podkaminieniu. Najstarsza siostra Maria i brat Janek zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec. W 1943 i 1944 r. do Palikrów zaczęły dochodzić wieści o mordach dokonywanych na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich. – Razem z bratem odczuwaliśmy niepokój, jaki panował w domu. Mężczyźni spotykali się i organizowali wartę. Pamiętam straszną wieść o zamordowaniu całej rodziny naszego dalszego sąsiada, Piotra – mówi prof. Brygowa.

MARYJA ZOSTAŁA MOJĄ MAMĄ

12 marca 1944 r. okolice Palikrów i Podkaminienia zostały otoczone przez nacjonalistów ukraińskich. Kilkuset mieszkańców wsi zagnano na łąkę nad rzeką. Tam oddzielono Ukraińców od Polaków. Polacy, w tym rodzina Jamrozików, ustawieni w kilku rzędach, byli rozstrzeliwani z karabinów maszynowych. – Siedziałam na plecach mamy przewiązana chustą i wszystko widziałam – wspomina mieszkanka Klinów. Rozstrzeliwanie trwało cały dzień. Mała Józia zapamiętała przede

wszystkim jęki i płacz. – Wieczorem doszli do naszego szeregu. Rodzice milczeli. Huk wystrzałów słychać było coraz bliżej. Nie pamiętam, co się stało, ale gdy się ocknęłam, leżałam na ziemi, przykryta moją mamą. Obok leżał ojciec i strasznie jęczał. Zaczęłam się modlić „*Pod Twoją obronę...*” i „*Aniele Boży...*”. Zbliżył się jeden z bandytów i strzelił do ojca. Krew wypłynęła mu z ucha i już się nie odezwał – mówi cicho prof. Brygowa. – Nie rozumiałam, że mama nie żyje. Bardzo się bałam i wołałam: „*Mamo, wstań!*”, szarpiąc ją za rękę. A ona leżała niema na wznak z otwartymi ustami i rozłożonymi rękami – dodaje. Napastnicy chodzili potem po miejscu kaźni, dobijając rannych. Jeden z nich chciał strzelić do udającej nieżywą Józii. – Prosiłam wtedy Matkę Bożą, by mnie ratowała i została moją mamą – opowiada pani Józefa. Drugi z mężczyzn odwiódł pierwszego od złego zamiaru, mówiąc, że szkoda naboju, bo „*ta mała i tak nie żyje*”. – Jestem pewna, że to Matka Boża mnie uratowała i prowadziła przez dalsze biedne życie – przekonuje prof. Brygowa. W nocy strzały i jęki uciły, widać było tylko lunę od palonych polskich domów. Słaniającą się Józję zobaczyła sąsiadka. Mimo że sama była ranna, zabrała ją wraz z braciszkiem Stasiem (on również wydostał się spod trupów) do pewnej Ukrainki, która ukryła ich wszystkich. Nie wydała ich, mimo że napastnicy dwukrotnie przeszukiwali obejście, a nawet ją postrzelili. Dzieci wróciły potem do zniszczonego domu i tu znów cudem ocalały – choć banderowcy przeszukiwali zabudowania – ukryte w rogu częściowo zalanej wodą piwnicy. Po kilku dniach na ten teren wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Błąkające się po okolicy sirotki zostały wywiezione na Wołyń. Tam Józia i jej brat zostali rozdzieleni. Później dziewczynkę odnalazła żona wujka i

w 1945 r. przewiozła na tereny powojennej Polski. Trafiła do gospodyni, gdzie dośkwierały jej głód i chłód. W końcu uciekła w obdarłej sukience do sióstr szarytek w Moszczanach w Jarosławskiem. – Przełożona klasztoru s. Klementyna Dziedu-szycka, ze znanego rodu hrabiowskiego, była wspaniałą kobietą o wielkiej klasie. Pragnęłam ją naśladować, jeśli idzie o maniery, zasady i mądrość życiową. Była dla mnie jak druga matka – zaznacza nauczycielka.

NIE DAJĘ RĘKOJMI...

Po ukończeniu podstawówki Józia została zawieziona przez siostry do Przemyśla, gdzie uczyła się dalej w szkole odzieżowej. Zapisła się również do szkoły muzycznej, ucząc się gry na fortepianie i wiolonczeli. Tu na jej drodze znów stanęła osoba opatrnościowa – nauczycielka gry na fortepianie dr Maria Schaller. – Odegrała wielką rolę w moim życiu. Cały czas czuwała nade mną, wspierając w wyborach życiowych. Była osobą o szerokich horyzontach myślowych i kulturalnych, doktorem filologii polskiej. Opiekowała się mną i traktowała mnie jak córkę. Cały czas noszę krzyżyk, który dostałam od niej – mówi prof. Brygowa. Starsza o 15 lat siostra Maria, wywieziona na roboty do Niemiec, gdzie zmarł także brat Janek, odnalazła Józję dopiero, gdy ta miała 21 lat. Wcześniej szukała śladu rodziców i dopiero od spotkanej przypadkowo koleżanki dowiedziała się, że nie żyją, a Józia jest w Przemyślu. – Siostra wróciła z mężem z Niemiec i osiedliła się w Katowicach. Mieli sześcioro dzieci – wspomina J. Brygowa. – Którejś niedzieli poszłam do cukierni na ciastka. Wpadła tam zdyszana koleżanka, mówiąc, że gospodyni, u której wynajmowałam pokój, szuka mnie, bo przyjechała moja rodzona siostra. Przekonywałam ją, że się pomyliła, bo siostra już

dawno nie żyje i chodzi pewnie o siostrę przełożoną (Dziedu-szycką). Pobiegłam więc na złamanie karku na spotkanie z uwielbianą zakonnicą i stanęłam w oniemieniu. Pomyślałam, że przede mną stoi... mama! Siostra była do niej wówczas ładną podobną. W 1960 r. Józia Jamrozik zaczęła naukę w Studium Nauczycielskim w Rzeszowie. W tym czasie na potańcówce poznała przyszłego męża, Stanisława Bryga. Wzięli ślub, a w 1961 r. дочекали się syna Andrzeja. Pani Józefa uczyła później języka polskiego w rzeszowskich szkołach podstawowych, a od 1974 r. w tamtejszym I LO im. Konarskiego, założonym w 1658 r., gdzie zasłużyła na tytuł profesora szkoły średniej. Była znana z nauki piękna słowa oraz przekazywania niekłamanej wiedzy o literaturze polskiej. – Zawsze byłam aktywnie związana z Kościołem. W moich aktach szkolnych znalazły się nawet zapiski, że „nie daję rękomi wychowania uczniów w duchu socjalistycznym” – mówi.

ŚPIEWAM SERCEM I DUSZĄ

Przez całe życie towarzyszył jej śpiew. – W Palikrowach śpiewaliśmy wiele. W maju zawsze pieśni maryjne przy kapliczce – wspomina. W Rzeszowie kontynuowała śpiewanie w chórach parafialnych, m.in. w chórze Emmanuel przy parafii św. Judy Tadeusza. Była prezesem tego zespołu. Za wieloletnią działalność nadano jej Złotą Odznakę Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Po przyjeździe do Krakowa zapragnęła i tutaj chwalić Boga śpiewem. – Gdy 11 lat temu zaproponowała utworzenie chóru parafialnego, nikt, włącznie ze mną, nie wierzył, że to się uda. A jednak się udało i dziś nasz zespół, biorący czynny udział w niedzielnej liturgii oraz koncertujący także poza parafią, należy do najlepszych chórów parafialnych w archidiecezji. Jest w tym spo-

ro zasługi pani Józefy – mówił ks. Jan Jarco, proboszcz parafii św. Rafała Kalinowskiego, w trakcie niedawnego uroczystego pożegnania prof. Brygowej ze śpiewem chóralnym. W kościelnych zespołach wokalnych prześpiewała w sumie 65 lat. – Śpiewam sercem i duszą. Śpiew jest dla mnie formą modlitwy. Był zawsze moim ukojeniem w tragicznych chwilach życia i uskrzydleniem w chwilach radośnych, dawał ulgę w smutnym sieroctwie, u szarytek w Moszczanach, w szkołach przemyskich – mówi chórzystka z kilkudziesięcioletnim stażem. Choć skończyła

ze śpiewem chóralnym, nie ma zamiaru skończyć ze śpiewem w ogóle. – Śpiewałam mojemu synowi, potem wnuczce, teraz zaś pieśni dziecięce i patriotyczne sły-szy ode mnie mój półtoraroczny prawnuk – mówi pani Józefa. Chciałaby jeszcze pojechać na Podole i zobaczyć łąkę, gdzie trwało rozstrzelanie i gdzie w zbiorowej mogile leżą jej rodzice. – Kto wie, może usłyszę echo tamtego śpiewu pieśni maryjnych spod wiejskiej kapliczki – zamysła się prof. Brygowa.

Bogdan Gancarz

Poezja - Поезія

Czesław JANCZARSKI

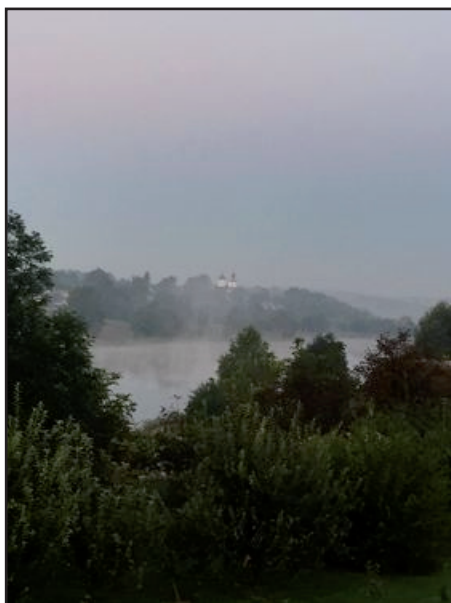
SYGNATURKA

Idącego drożyną, gdy cisza na pagórkach
wieczorny welon ściele,
dobięła mię, oj, zdyszana sygnaturka
z wieżyczki na kościele.

Kłękają cienie ciche, przydrożne,
wiosenne badyle.
I ja głowę słowem szczerym, nabożnym
Nisko pochyle.

Idę drożyną – oj, drożyno polna jakaś,
Wiedziesz przed siebie!
A ton czysty sygnaturki szarym ptakiem
Nade mną przebiegł.

„Życie Katolickie” 1937 nr 16, s. 246.



Na horyzoncie wieże świątyni
w Hruszwicy

Fot. Roman Stasiuk



Ў нас на Во́лыню - У нас на Волині

WIELKI SYN ZIEMI WOŁYŃSKIEJ (Z OKAZJI 50-LECIA ZGONU [1888- 1938] KARDYNAŁA CZACKIEGO)



**Pomnik kard. Włodzimierza Czackiego
dłuta Piusa Welońskiego - Santa Puden-
ziana - Rzym, Italia**
Fot. Wikimedia Commons

Wśród falujących łąnow złocistej pszenicy, na żyznym Wołyniu, rozłożyło się od niepamiętnych czasów miasteczko Poryck. Wody jeziora poryckiego i wąskiej rzeczki Łuhu oblewają mu stopy i przepięknemu położeniu dodają jeszcze więcej wdzięku. Na wyspie jeziora sterczą jeszcze ruiny starego zamczyska – dawnej siedziby książąt Korybut-Poryckich.

W wieku XVIII już ich nie stało, a Poryck drogą spadków przeszedł do hrabiów Czackich. Nowi dziedzice oręż przekuli na lemiesz, a zamiast miecza jęli się nauki i pracy dyplomatycznej. Gdy Polska zaczęła politycznie upadać, przeróżne stronnictwa, najczęściej sobie przeciwne, kruszyły kopie o skrajne zasady, pogłębiając tylko przepaść, w jaką staczała się Ojczyzna. Powoli dopiero zaczęto się otrząsać i szukać drogi, by wyprowadzić naród z zamętu, jaki zapanował w kraju.

Do tych, którzy od razu stanęli na pewnym gruncie i nigdy z właściwej drogi nie zboczyli, należał dom Czackich. Spozrzegł to już przedtem bystry polityk rosyjski, nieprzejednany wróg polskiego imienia – poseł Katarzyny II, Repnin, gdy postarał się o porwanie wraz z innymi i Szczęsnego Czackiego, podczeszego wielkiego koronnego. Syn porwanego, Tadeusz, życie całe poświęcił dla dobra ogółu, kształcąc nowe pokolenie i tchnąc w nie ducha prawdziwej wiary, miłości Boga i kraju rodzinnego. Wprawdzie nieubłagana polityka rosyjska zburzyła gmach, przez Tadeusza Czackiego z trudem wystawiony, niszcząc kwitnące Liceum Krzemienieckie, niemniej jednak ci, co zdążyli je ukończyć, stali się zaczynem lepszej części w narodzie.

Pamięć Tadeusza Czackiego podtrzymał swymi czynami i pracą wnuk założyciela Liceum Krzemienieckiego, Włodzimierz, który imię Czackich nową chwałą

opromienił nie tylko wśród swoich, ale w całym świecie katolickim.

W roku 1834 Poryck prawem dziedziczości dzierżył syn Tadeusza Czackiego, Wiktor, ożeniony z Pelagią Sapieżanką. 16 kwietnia tego roku obdarzył Bóg szczęśliwych małżonków synem Włodzimierzem. Dziecko urodziło się tak wątłe, że już nazajutrz ochrzczono je w kościele poryckim, zbudowanym w r. 1770 kosztem wspomnianego Szczęsnego Czackiego. Dzięki starannej opiece lekarzy i pieczy macierzyńskiej, udało się utrzymać niemowlę przy życiu, aczkolwiek kilka lat później zawyrokowali lekarze, że dla wzmocnienia zdrowia należy wywieźć chłopca w cieplejsze ustronia na południe Europy.

Toteż krótko trwał pobyt Włodzimierza Czackiego w gimnazjum w Warszawie. Jako siedemnastoletni młodzieniec udał się Czacki za granicę do Francji, a później do Rzymu. Tu zamieszkał do śmierci, wyjeżdżając na krótko tylko czy to na Wołyń czy to do wód lub do Egiptu dla poratowania zdrowia.

Spowodowane złym stanem zdrowia osiedlenie się w stolicy chrześcijaństwa okazało się w skutkach wprost opatrznościowe. W Rzymie bowiem zamieszkał Czacki u ciotecznej siostry swej matki, księżny Zofii z Branickich Odescalchi, matrony znanej w Rzymie zarówno z pobożności i dzieł miłosierdzia, jak i z potężnych wpływów, które zawdzięczała wysokiemu stanowisku swego męża w społeczeństwie rzymskim. Wyszędłszy za mąż za Włocha, Zofia Branicka potrafiła korzystać ze stałej bytności w Rzymie, by pracować dla swej Ojczyzny – Polski. A właśnie w Rzymie mogła być jej pomocną. W stolicy powszechnego katolicyzmu, gdzie ścierają się wpływy międzynarodowe, biedna nasza Polska nie miała wówczas urzędowego rzecznika swej sprawy.

Wiedzieli o tym dyplomaci państw zaborczych, by oczernić przed Ojcem św. Polaków, przedstawiając ich jako zwolenników rewolucji, którzy pod płaszczykiem religii uprawiali wywrotową robotę celem odzyskania wolności politycznej. W tych smutnych czasach orędowniczką sprawy polskiej przy Watykanie stała się ciotka Czackiego, Zofia Odescalchi. W domu jej męża spotykali się kardynałowie, biskupi, prałaci i świeccy mężowie stanu, by radzić nad obroną Kościoła w Polsce pod zaborem rosyjskim.

Wysocy goście tych politycznych zebrań u księżat Odescalchich spostrzegli prędko, że młody Czacki dzięki swym zdolnościom, znajomości języków nowożytnych oraz umiejętności szybkiego orientowania się w danej sprawie ma wszystkie zalety prawdziwego dyplomaty. Postanowili zużyć go w sekretariacie stanu dla opracowania spraw, dotyczących diecezji polskich w Rosji.

Tymczasem rozgłos o zdolnościach Czackiego dotarł do uszu samego papieża. Wprowadzony przez księżnę Odescalchi na Watykan, zjednał sobie nasz rodak łaskawość i względy Piusa IX. Jeszcze jako świecki doznał osobliwego zaszczytu, kiedy papież powołał go do swego boku w charakterze sekretarza. Na stanowisku tym, świadczącym o wielkim zaufaniu papieża, Czacki czuwał przede wszystkim nad interesami Kościoła i uciśnionej narodowości polskiej we wszystkich trzech zaborach. Współ ze zmarłymi Kaysiewiczem i Semeniuką uchylał ciosy, wymierzone w Kościół w Polsce przez rząd carski, urabiając nam na gruncie rzymskim opinię narodu wartościowego, zdolnego do życia państwowego, a do Stolicy św. szczerze przywiązanego. Z chwilą przyjęcia święceń kapłańskich w roku 1868 otrzymał ks. Czacki nominację na członka kongregacji

dla spraw kościelnych nadzwyczajnych, czyli tego wydziału w sekretariacie stanu, który kieruje nuncjaturami papieskimi za granicą i załatwia sprawy polityczne z krajami konkordatowymi. Po kilku latach został nawet kierownikiem tej kongregacji i w ten sposób miał z urzędu pierwszorzędny wpływ na kierunek dyplomacji kościelnej.

Na stanowisku tym zatwierdził go także Leon XIII, który postanowił niebawem zużyć wybitne zdolności polskiego dostojnika na jednej z najtrudniejszych placówek dyplomatycznych za granicą. W roku 1879 wyniósł papież prałata Czackiego do godności arcybiskupiej, mianując go równocześnie nuncjuszem apostolskim w Paryżu. Posłuszny wezwaniu Namiestnika Chrystusowego, wkroczył Czacki na drogę, najeżoną cierniem i kolcami. Był to okres, kiedy wszechpotężna we Francji masoneria powoływała do steru władzy ludzi bezbożnych lub co najmniej wrogich Kościołowi, których dążeniem był rozdział Kościoła i państwa oraz zupełne zeświecczenie życia społecznego. Toczyła się ostra walka między innymi o szkołę wyznaniową, o utrzymanie zakonów, o swobodę zebrań religijnych. Zręczności, a zarazem umiarkowaniu, nuncjusza udało się niejedną atak wrogów Kościoła zwycięsko odeprzeć, a wypowiedzenie konkordatu i ustawę o rozdziale Kościoła i państwa odroczyć.

Ale pod obuchem tyłu ciosów i ciągłych napaści na przedstawiciela papieża ze strony radykałów załamały się siły fizyczne zawsze wątłego organizmu. Mimo podziwu i uznania dla świetnej polityki swego nuncjusza, widział się papież zniewolonym odwołać go z Paryża do Rzymu. 18 września 1882 r. nuncjusz Czacki został kardynałem, odbierając przed wyjazdem z Francji biret purpurowy z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej. W

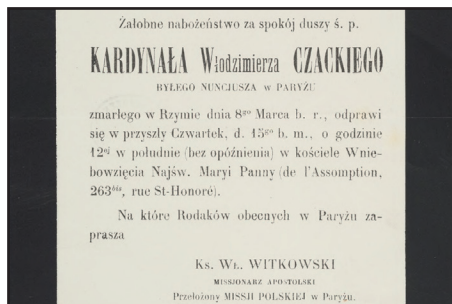
Rzymie należał jeszcze przez szereg lat do najwybitniejszych kardynałów kurialnych i najwięcej cenionych doradców papieża. Mówiono nawet, że Leon XIII zamierzał w r. 1887 powierzyć mu urząd sekretarza stanu, lecz Czacki odmówił, czując, iż przy coraz gorszym zdrowiu nie sprostałby wszystkim zadaniom proponowanego mu stanowiska.

Przecucie go nie myliło. Właśnie rok później bowiem, kiedy jednego dnia spoczął po obiedzie na kanapie, zasnął niepostrzeżenie – samotny, bez świadków – snem wiecznym. Było to 8 marca 1888 r., pięćdziesiąt lat temu.

Ziemskie jego szczątki pochowano na cmentarzu Campo Verano w pobliżu bazyliki św. Wawrzyńca za Murami, gdzie się znajduje grób jego wielkiego przyjaciela i protektora, Piusa IX. W kościele jego kardynalskim św. Pudencjanny wznosi się wspaniały pomnik dłuta Piusa Welońskiego, przedstawiający naszego ziomka w szatach biskupich, napis na sarkofagu zaś głosi w klasycznej łacinie, że „*Vladimirus Czacki Polonus*” – Polak wywodzący się z Porycka ziemi wołyńskiej – zasłużył się dobrze około katedry Piotrowej i Ojczyzny.

Ks. mgr. Witold Klimkiewicz

„Życie Katolickie” nr 10 z 6 marca 1938 roku.



Literatura - Література

Ułás SAMCZUK

W O Ł Y Ń. Powieść w trzech tomach
tom II: WOJNA I REWOLUCJA

WOJNA I

Żona Matwieja, tego roku znalazła się nad Doliną Ugorską. Choma O-ten i Iwan Kuszka, sąsiedzi, mają tam z obydwu stron, też swoje pastwisko. Szmat ziemi rozciąga się szeroko i daleko – dolina, jezioro, łąki, wyginają się wielkim łukiem naprzeciwko słońcu, ciemniejącym lasem dębowym, osłoniły się od północnych wiatrów. Na drugim skłonie pochyłości, jest wyrąb i młody brzeziniak. Szeroka, wyraźna granica zarosła murawą i twardo wcięła się w glebę wzdłuż całej doliny. Po pochyłości rozłożyły się szeroko rozłogi krzaków leszczyny i młode, kędzierzawe dąbki. W krzakach skryły się różnorodne siwe kamyki, które niczym grzbiety kotów, wypinają się w górę nad powierzchnię, porosłe mchem, popękane, pourywane, jakby znienacka porozbijane olbrzymim młotem, wielkimi kęsami stoczyły się w dół i w niepewności zatrzymały się przed łąką Michała Turka.

Pod urwiskiem ziemia się rozstąpiła i z jej paszczeki wyrósł królewski dąb, rozcięty uderzeniem gromu na dwie połowy. Z wszystkich stron widnieje jezioro. Jakby spadło z niebios i porozbijało na wiele odłamków wielkiego lustra, odbijającego promienie słoneczne, które wielkim wodospadem pochyłości doliny, zlewają się z łanami żyta, makami polnymi, błękitnymi bławatkami, i trawami z dzikim kminkiem, które rozrosły się wokół ludzkich siedzib.



Pomnik Ułasa Samczuka
w Zdolbunowie

Fot. Wikimedia Commons

Jednak z tych traw niewiele jest pożytku. Co roku, gdy wyrosną do pokosu, letnie upały napędzą ulewy, jezioro podniesie swój poziom i niepowstrzymaną ławą rozprzestrzeni się wokół, jak okiem sięgniesz, po dolinie. Trawy nikną pod brud-

na nawałą od swawolnie i dziko napierających z wichrem na brzegi, strumieni wody, zalewających stworzenia, co się schroniły pośród krzaków łożyny i olch, wraz z konikami polnymi, różnymi komarami i muszkami, i wszystko, co żyło i rodziło, ginęło naraz, wraz z ulewami, w niewiadomej pustce.

Dolina stawała się wtedy burzliwa, szumiały wody, olchy i dęby. Żyto chyliło się, jakby z pokorą się ugięło, kłosa sięgały do gliniastej gleby, a maki przedwcześnie zrzuciły swoje szkarłatne szaty. A kiedy wody ustępowały, na powierzchni strąconych traw pojawiały się ryby, niczym kęsy żywego srebra, które leżały i ledwo trzepotały się, jak jakieś całkiem bezradne stworzenia. Wtedy baby i dziewczyny z Ugorska i Tylawki oraz pastuszkowie i chłopcy, wychodzili z koszami i podbierali rękami karasie i piskorze. I zazwyczaj zaczynała się walka o zdobycz, pomiędzy mieszkańcami Ugorska i Tylawki, – zwyciężali silniejsi, bo tu obowiązywało prawo burzy i pięści. Ale nie tylko walki toczyły się o ryby. O nie, nie tylko o to!

Żona Matwieja, Iwana Kuszki i Chomy Ot-tego, sąsiadowały przez miedzę z Doliną Ugorską. Za miedzą, pole opadało do dołu, gdzie był cień i podmokłe trzęsawisko, własność Grigorka. Chłopa posiadającego własną ziemię, ale leniwego i pijaczka. Pole zarosło darnią, a jesienią, kiedy zbierali mizerny owiesek, zostawało nieco paszy, gdy się nieco przyłożyło kosę. Szkoda więc było nie połakomić się na taką okazję. Mieszkańcy Tylawki, jako najbliżsi sąsiedzi, ruszali pierwsi, mieszkańcy Ugorska, ruszali za nimi, szykowały się bojowe drużyny, huczały groźne starcia, sypał się grad kamieni, łamały się na czaszkach żerdzie. Tak było z pokolenia na pokolenie.

Wołodźko tego sławetnego roku, został zaprzysiężonym pastuchem. Czarny,

jak murzyn od słońca, jak cięciwa prężny, włosy jak konopie, jak cegły popękane, bosa stopy. Pasię sześć dojnych krów i cztery jałówki. To nie kraina Łabędzi, pola graniczą miedza w miedzę, dlatego należy być ostrożnym.

Dobrze, że gospodyni nie sąsiaduje ze „szkodą”, na Ot-tego też pastwisku, gdzie pasie tam swoich też cztery ogony „Nie mój” o imieniu Roman, którego woła na migi i nazywa Nie mój, – potężny chłopczykisko, twardy, o barwy palonej cegły, łbie i porypanej do krwi gębie. Z Iwanem sąsiadują dwaj białogłowi „*mamine lobuzy*” Chwedźko i Ilko – dwanaścioro chudoby, jeden by nie poradził, dlatego jest ich dwóch, bo miedza dokładna, nakreślona w planach, prawem wielkiego państwa, surowo chroniona.

– I dobrze, powiedział Matwiej – Nie lubię tej wspólnoty. Na swoim, chcesz, stań, chcesz, siądź, chcesz, połóż się. Ja tu jestem panem. Tak. Każdy ma prawo na kąsek prawa w sobie.

Dlatego miedzy surowo strzegli, dlatego dla gamoni nie powierzali dobytku i uszy mieli otwarte. – „*Ach, kiedy to się skończy*” – myśli nie raz Wołodźko. Myśli stokrotnie, tysiąckrotnie – pole, pole i pole, pośrodku buda, kryta słomą, w niej wór do spania, płachty na łodzie, worki na żywność, kije z leszczyny, z wyciętymi nożykiem karbami, zdobione czerwona wstążeczką za trzy kopiejki. Huragan, ulewa, deszcz, – buda ochroni. Wołodźko sam stawiał krokwie, zbijał łąty ze sztachet, kradzionych z dworskich płotów i robił poszycie ze snopków pańskiej stodoły. Na wypadek wojny, przygotował dwie kupy poręcznych kamieni.

Myśli przeszkadzają Wołodźkowi... Przeklęte, wieczne, durne, myśli. A gdy pojawia się Rogata, myśli – oby Bóg dał, aby ci oczy, z lekka wylazły!

Akurat wtedy, gdy myśli jego krążyły

z Tarasem Bulbą koło dubieńskiego fortu, gdzie sławny bat'ko Taras, karał niesławnego syna za zdradę, myślał:

– Kim byli ci zaporoscy kozacy? – pytał w ubiegłym tygodniu swoją „pańską” nauczycielkę, którą widywał latem i brał u niej książki.

– Tak, oni byli... na Dnieprze swoją Sicz zorganizowali i walczyli szabłami o ziemię ruską, wojując z carem, Polakami, jezuitami, Turkami i Tatarami.

– A co to jest Ukraina? – nie przestawał Wołodźko.

– To, mówi się, taka kraina, obszar nad Dnieprem, gdzieś koło Kijowa.

Były to niejasne odpowiedzi i nie zaspokajały ciekawości.

– Wo-łodź-kuuuu! Wo-łodź-kuuuu – słyszy zniecka chłopiec.

Zrywa się, bo leżał głową na ziemi i fikał nogami. Miał właśnie pobiec za rogatą.

– Wołodź-kuuu!

– Czegooo?

– Ugorzcycyyy!

To Chwedźko. Stado jego jest właśnie nad granicą. Chwedźka widać za wzgórzem, tylko do pasa. Przyłożył dłoń do ust i krzyczy... Niebezpiecznie! Alarm! Wróg na widoku!

Wołodźko zrywa się i niczym strzała, mknie nad granicę. O Rogatej całkiem zapomniął. Z doliny szybko, jedno po drugim, Ilko wygania swoje bydło.

Krowy w zamieszaniu biegną, ile sił, a Ilko wali je pałką po kłębach. Z drugiej strony, niemowa, także wygania swoje krowy, także dalej od granicy.

– Do kupy! Ilko! Zgoń do kupy swoje stado! – Ty! Ty! – wymachuje do nieme go rękami i pokazuje, aby tamten zgonił swoje stado do budy. Tamten kiwa głową i jak wicher biegnie na wskazane miejsce.

– Hej, hej, krzyczy Wołodźko, wymachując grubą pałką... I pędzi do granicy, naprzeciw wrogom. Za nim pobiegł

Chwedźko, za Chwedźką, niemowa.

Dobiegli do granicy i zatrzymali się.

– Dawaj-dawaaaaj! – Dawaj-dawaaaaj! – potrząsając wysoko nad głowami, wymachując swoimi pałkami i krzykliwymi głosami, wykrzykują swoje wojenne hasła.

– Zareagować, nie zareagować? – szybko przebiega w myślach Wołodźka, ale niemowa już bełkocze i potrząsa rękoma...

– Dawaj, dawaj! – wykrzyknął Wołodźko i dodał wyzywająco:

A dermańskie klince

piekli żabę w ręce,

wszystkich dermańców zaprzęgali,

by z pieca żabę wyciągali!...

Zatrzęśli się chórem ugorzcycy. Taka obraza! Boże! Taka niesamowita obraza!

„A ugorscy smarkacze,

piekli żabę w piecu,

ojca i matkę zaprzęgali,

by z pieca żabę wyciągali!..”

Tak zarecytowali im Wołodźko i Chwedźko. Takie nieoczekiwane zuchwałstwo trzech dryblasów, całkiem zirykowało wrogów. Niemy macha bezustannie, wymachuje swoją grubą pałką, i gotowy jest z kopyta ruszyć do boju. Ale Wołodźko, nie.

– Dawaj kamienie! – krzyknął! Chwedźko skoczył do skrytki po kamienie. Tych cennych wojennych pocisków jest pełno niemal z wszystkich stron, dlatego trzeba z nimi obchodzić się ostrożnie.

Podczas boju trzeba, zależnie od sytuacji, wybierać amunicję tak, jak to dyktuje wróg.

A ten gnał co sił, do siana kosiarzy. Oto już wszyscy hycają po wysokiej trawie, dobiegają do Grigorkowego owsa i znikają. Za pagórkami ich nie widać, więc trwa napięcie, dopóki oni nie wychyła się z boku, skąd jest bliżej.

– Ilu ich jest? Raz, dwa, trzy – pięciu, którzy byli z tyłu, a z przodu, także chyba pięciu. Napadu trzeba się spodziewać z boków i z przodu.

– Trzymać się, chłopcy!- zaciska zęby i pięści Wołodźko. Niemy ma nakaz pilnować prawego odcinka, Chwedźko obstawia lewe skrzydło, a sam pilnuje środka.

– Nie dopuszczać do siebie! Kamieniami! Na walkę wręcz nie pójdziemy...! Oni nas zniszczą... Ich jest trzy razy więcej...I nagle przychodzi Wołodźkowi nowa myśl. Schowamy się! – woła. Za gnojem...

Na polu jest porozrzucany na kupki gnój i chłopcy momentalnie chowają się za nimi. Wyskakiwać znieacka, niespodziewanie. Gdy Wołodźko poda sygnał. Zalegli. Oczekują. Praży słońce. Wołodźko zatrzymał oddech i wsłuchuje się w każdy szmer, który dochodzi z doliny. Serce gwałtownie przyspiesza.

Po niebie, nieznacznie pelżają chmurki... Martwo, nieporuszenie stoją dąbki. Zielone ich liście pobłyskują w promieniach. I z wszystkich stron cykają koniki polne.

Jako pierwsi, wychylił się z za wzgórza ci, którzy byli z naprzeciwka. Lewe skrzydło podeszło. Prosto przez owies przedziera się trójka owianych wiatrem czarnowłosych chłopaków z liszajami. W rękach mają pałki. Wybiegli na równinę: – Dawaj, dawaj! – krzyknęli niemal równocześnie. Nikt im nie odpowiedział. Cisza. Wszyscy trzej przystanęli. Odległość ich od granicy – jeden rzut kamieniem.

Chłopcy – naprzód! – krzyknął Wołodźko i zerwał się, niczym poparzony. Za nim podrywa się Chwedźko, a za Chwedźkiem, niemy. We trójkę odważnie lecą naprzeciwko napastnikom.

To było tak niespodziewanie dla Ugorszczyków, że oni nie zdążyli rzucić ani jednego kamienia. Natychmiast rzuci-

li się do ucieczki. Zmykają po polu owsa, tylko migają pięty, a pełne kamieni torby, harcują im po zadkach. Za nimi gonią lecące kamienie, a niemy na całą okolicę wrzeszczy swoim dzikim rykiem.

Stój – huknął Wołodźko. Z obydwu stron wyskoczyło jeszcze kilku Ugorszczan, którzy, skuliwszy się ciągną na pomoc swoim towarzyszom. W odległości stu kroków, oni przystanęli. Wołodźko i towarzysze wbili w nich swoje surowe, zimne spojrzenia.

Pac! Celny kamień wyleciał z ręki Ugorskiego mańkuta, zakreślił w powietrzu krzywy łuk i uderzył w ziemię. Wołodźko postąpił ze dwa kroki i podjąwszy go, schował do kieszeni.

– Rzucaj jeszcze! Rzucaj, czarciu twoja mać! Ryj twój znacznie piękniejszy, niż u naszego knura! – krzyknął! Niemy do siebie przyciągnął kamień.

– Ty, nie rzucaj! Zwrócił się do niego Wołodźko, pokazując na małą kupkę kamieni. Niechaj oni, pierwsi rzucają.

To było, jak hasło do natarcia Ugorszczan. Kilka kamieni poleciało na Dermańszczan, którzy nie nadążali z ich zbieraniem. Każdy musiał strzec się przed kamieniami...

– Huraaa! – krzyknęli Ugorszczanie i wszyscy ruszyli do przodu. Dermańcy rozpoczęli kontratak. Kamienie sypnęły się, niczym grad. Niemy ożywił się i był gotowy z kijem rzucić się na napastników.

Ale w tym momencie, okrążyła kamieniem kula uderzyła go w przegub prawej ręki. Chłopiec krzyknął. Wołodźko natychmiast rzucił kamieniem i trafił Ugorszczyka w nogę. Ten od razu przysiadł.

Ale nie zdążył Wołodźko odwrócić się na krzyk niemego, gdy w oczach jego pojawiły się iskry. Nad samym swoim okiem odczuł ostry dotyk kamienia. Przez chwilę niczego nie wdział. A gdy otworzył oczy,

Ugorszczanie byli już pod samym nosem.

Dermańcy rzucili się do ucieczki. Ugorszczanie za nimi. Słysząc krzyk, świsty. Kamienie świszczą za uciekającymi. Wołodźce cieknie z czoła pot i krew. Pochylił do przodu głowę, aby krople spadały na ziemię, chroniąc koszulę od poplamienia – matka nie musi wiedzieć. Bo po co?

Zatrzymał się aż na górze. Ugorszczanie dobiegli do budy i tam zastygli.

Wołodźko pochylił się.

– Ach, Boże! – wykrzyknął Ilko. – Wołodźko! Twoje czoło jest całe porozbijane...

– A, to nic. Ale ja jego też dziabnąłem. Widziałem, jak upadł. Niczym snop. Idź po wodę!..

Ilko poszedł do Mozolianki po wodę. Ugorszczanie hasali wkoło budy i po chwili zaczęło z niej dymić.

– Wołodźko, Wołodźko! – krzyczy Chwed'ko. – Twoją budę podpalił!..

Wołodźko popatrzył w tamtą stronę, trzymając prawą dłoń nad prawym okiem. Przez palce sączyła się krew i maleńkimi strużkami ściekała i kapiała.

– Ale swołocze! – wyrwało się z jego ust. – Wasyyylu. Wasyyyyluuu! – zaczął jęczeć.

– Dym nad budą wił się, niczym wielbłąd, dwoma garbami i coraz wyżej i wyżej sięgał błękitu. Słońce smażyło boki ziemi z największą uwagą. Nawet koniki polne i cały naród owadów pośród traw, ucichł.

A buda rozpuściła ogniowe skrzydła i, zdawało się, jakby chciała ulecieć z dymem w błękit. Wasyla nigdzie nie było. A Wołodźko, tylko tak, aby nastraszyć Ugorszczyków, krzyczał:

– Czekaj, czekaj, sto bólów tobie, w żebra – woła Wołodźko. – My jeszcze wam pokażemy!

Ale ugorszczanie najwyraźniej, już

świętowali swoje zwycięstwo i nacieszywszy się widokiem pożaru, z dzikim zapalem wykrzyczeli obraźliwe słowa i pobiegli...

Biegli szybko, najmocniej jak mogli, jakby ktoś ich gonił. Niemy posłał im na pożegnanie swoje: Ta-ta- ayaaa! – i kilka kamieni. Ilko przyniósł w czapce wody. Gnał niczym nawiedzony, bo woda wyciekała. Wołodźko miał czoło i całą twarz niedomytą i wyglądał jak niedomalowany obraz. Więc jeszcze raz pognął Ilko do rzeczki Mozolanki, po wodę.

A krowy pasły się razem. Niebezpieczeństwo wrogiego napadu, zjednoczyło wszystkich. Podeszli do budy. Ogień, niczym głodny pies, nakarmił się krokwiemi i łatami. Nie została ani jedna słomka. W powietrzu unosiły się drobinki popiołu i czuć było zapach spalonych łąchów Wołodźki, które były przechowywane w budzie.

Razem z budą, dogorywał i dzień. Nad lasem unosiło się słońce, przebijające się promieniami na wszystkie strony; cień od dębów wydłużał się, sięgając z początku gospodarstwa Kuszki, a dalej rozciągał się do Matwiejowego. Na ugorskich polach ktoś wyśpiewywał potężnym głosem, jakąś pieśń.

I gdy słońce zapadło za las, i dotykało koronę jego rozległej przestrzeni, przysza do Wołodźka Katarzyna, aby pomóc przegnać do domu stado.

– A kto to taki durny, że spalił budę? – zdziwiła się Katarzyna.

– Ugorszczycy. Napadli na nas czorty i wręcz wszystkich rozbili – mówi Wołodźko.

– A wy gdzie byliście, nie mogliście im nawtykać? – Nie bardzo mogliśmy. Ich było dziesięciu, a nas trzech. To spróbuj, w takiej sytuacji, dać im rady.

– A co u ciebie nad okiem? Boże. A koszula! Oj, da ci matka! Kamieniem dostałeś – co? A co, gdyby trafił ciebie w oko?..

Co za durne chłopaczyska. – No, co, też wojna...

Wojna, wojna. Smarkacze takie, a już wojna... Oby wam dostało się po tyłkach... Jakby was sprać po tyłkach, wiedziałby jeden z drugim, co to znaczy wojować.

– Ech, co ty rozumiesz... No cóż? Po twojemu, oni napadają na nas, a my... Co my? Mamy prosić ich o łaskę, co?... Krowy prowadziliśmy powiązane łańcuchami. Dróżka wąska, więc trzeba ostrożnie. Dom stawiali. Prostą kłunię (szopę). I Matwiej zwołał ludzi, aby pomogli zwieźć słupy i żerdzie. Sam przewiózł połowę pańskiej szopy, sam dodał materiał, sam pociął, dopasował, tylko sam nie dał rady złożyć. Każda siła ma swoje granice.

Do składania zebrało się moc narodu. Harmider, żarty. Po pracy wieczera i alkohol. W domu miejsca mało, dlatego zbili stoły z desek w szopie. Szopa obszerna, bez ścian działowych, same filary, deski, krokwie i belki. Na jej szczycie, zatknęli wielki bukiet kolorowych kwiatów.

Posiadali wszyscy dookoła stołów. Nastia podkasała spódnicę, pozakasywała rękawy i roznosi w misach jadło. Matwiej, jeszcze nie wysechł od potu, z przylepioną do pleców koszulą, rozlewa gorzałkę.

– Aby sto lat stała, pełno sęków–żyły naokoło stołu. Życzenia, żarty, a potem rozległy się śpiewy.

Spadła rosa i mgła, gęsto rozprzestrzeniła się po dolinie.

Oto mgła toczy się po dolinie,

Hej! A nam piękniej żyć się chce!...

Zorza wyrwała się z samej głębinie nieba i, rozciągnąwszy siną drogę, zniżała się do stalowej ściany leśnej. Tędy dobiegają, uderzają pienistą łuną i kołują się w głębinach chaszczy, rozległe głosy parobków podśpiewujących. Maksyma, Stratona, Mirona, Chomy, Wasyla, a za nimi starsi – wybili szaloną wyrwę szeroką i

nieporównywalną z niczym.

Oto taki jakiś ktoś, pojawił się kucając za stołem z nogami w porwanych spodniach. Światło lampy bije w jego skulone, maleńkie oczy i one mrugają i płoną, jakby wystraszone, a jego szpakowaty czub zadarty jest do tyłu. Prawica z ciężkim żelaznym śródręczem uniosła się do góry i twardo legła na ladzie stołu.

– Słuchajcie! Oto, co chcę powiedzieć... Cisza, ciszej, tam! Hej! Zamilknąć! Chcę powiedzieć... To jest – my dzisiaj postawiliśmy szopę! Tak. My postawiliśmy kłunię! Tak. My wszyscy. To jest, my wszyscy, co siedzimy za tym stołem. My, zbudowaliśmy szopę Matwijowi Antonowiczowi Dowbience, który, o czym wszyscy wiedzą, jest gospodarzem – daj Bóg nam wszystkim być, takimi jak on. Tak. To prawda.

On jest gospodarz solidny, wiadomo, porządny. I słowo u niego jasne, pewne i twarde. Co powie, to i tak jest. U niego każde słowo, to pieniądz. I wszystko jedno, kto przed nim stoi – jakiś adwokat, czy przed samym sędzią carskim staje, i wali prawdę między oczy.

Bo gdzie prawda, tam Bóg, a bez Boga, ani do progę. Tak powiedziano w świętych, starych księgach. A dlatego ja dzisiaj stanąłem tutaj, aby jakoś, jak to mówią dobrzy ludzie, a i prawo naszej ziemi chce, – wstałem, aby wypić jeden kieliszek za zdrowie naszego towarzysza i gospodarza, Matwieja... Wielu lat! Na potwierdzenie wszyscy podchwycili: Wielu lat, wielu lat! – Et, wymachiwał on niezręcznie lewą ręką, bo w prawej miał flaszkę z gorzałką. – Wszystko to, do niczego... Et, i pokiwał uderzonym ramieniem. Człowiek, wiecie, mówił on, po to się rodzi, aby być dobrym i porządnym gospodarzem. A co to, a jakże. A ja robiłem, ile mogłem... Dzieci wyrosną, niech dalej robią...tak.

A Wołodźko, poprzywiązywawszy łańcuchami krowy, pożądliwie nachylił się nad miską parujących kluseczek z mlekiem.

– Panoczku, panoczku! – zagadała Nastia, rzuciwszy okiem na jego czoło. – A kto ciebie tak poznał? Ty, wiatrołapie! Wołodźko wołał zamilczeć. Siedział na progu, brudne kolana powylażyły mu ze spodni, na kolanach ma gorącą misę. Siorbie z niej i nasłuchuje harmidru z szopy. I przyjemnie mu widzieć ojca i jego radość. Wydaje mu się, że Matwiej świętuje jakiś szczególny, uroczysty dzień. Na różowawym tle wieczornego nieba, wyraźnie zarysowują się linie krokiew jego dумы – nowej szopy.

O północy ludzie się porozchodzili i roznieśli po chutorach swoje przyśpiewki. Jeszcze długo to tu, to tam, podnosił się i milkł jakiś urywek pieśni, jakby wnikał do niezgłębioną ciszę oświetlaną ciężkimi, niczym miedź, przebłyskami księżycy.

Jutro będzie znowu dzień. Wstanie słońce i wstaną ludzie. I Wołodźko także wstanie, pośród nieustannej, matczynej gderaniny. – No – wstawaj! – Jak ty się czujesz?

– Ach, jeszcze troszkę pośpię... Czy już podościście krowy? „– *I jak jej chce się tak wcześnie wstawać*” – pomyślał.

– No, no... Ty – no wstawaj!. Już wszyscy pognali... Słońce już wszystkich powygniało... Ono wyżej niedługo podniesie się i rozwieje kamienny sen i umyje chłodną rosą, zebraną z liściach maku: jego ręce, oczy, pobiegną po młodej konicyźnie, aby odświeżyć nabrzmiałe przez noc nogi.

A póki co, on śpi – tak mocno, i tak niewymownie słodko. Matwiej, śpi także. Śpi na dworze, pod niedawno postawioną szopą. Naścielił na gałęziach słomy i legowisko gotowe. Śpi jak zawsze, na wznak. Szare pasmo księżycy przebi-

ło się przez szczelinę dachu i rozlało się płamą, niczym rozlany kit na jego brodzie.

Stalowy, szeroki cień Zołobeckiego, dębowego lasu, szybko się kurczył. Nad lasem wiał niezliczony tłum niewidocznych chochlików, którzy uroczyście przynosili na sklepienie niebios, olbrzymie ogniste światło.

Ziemia trzepotała się, niczym złapana ptaszyna, pokazywała swe wdzięki, broń się, migocąc barwami. Skrawki pól, niczym wielobarwne proporczyki, majestatycznie powiewały swoimi rozległymi połaciami.

Wołodźko raźnie stąpa bosymi stopami, po suchej chłodnawej dróżce i prowadzi na łańcuchu cztery sztuki uwiązane go bydła. Za nim, Katarzyna ciągnie drugą czwórkę. Idzie blisko koło krowy Łysej. Prawą rękę położył jej na grzbiecie. To wielkie stworzenie, czerwonej maści z łysiną na głowie, spokojne, z dobrymi, naiwnymi oczyma. Należy do Katarzyny, bo dostała ją od dziadka Joachima, kiedy wychodziła za niego. Z Łysą związana jest Mańka. Jest ona bardzo podobna do tej, jaką kiedyś sprzedał Matwiej na kupno ziemi. Taka sama u niej maść, ta sama odmiana, nawet też krótki ogon. Te dwie krowy – to duma gospodarstwa Matwieja. Reszta, to drobnica, może poza Rogatą.

Krowy powoli i obojętnie stępują. Ich szerokie racice trzeszczą od wielkiego ciężaru. Dzień będzie upalny, jak i wszystkie poprzednie. Gorące promienie szybko wysuszają resztki rosy, jaka przez całą noc niezbyt obrodziła. Tylko czerwien słońca i blask księżycy, w którym ono się odbija, znacząco podkreślają niepewność dnia, jakąś jakby wiszącą w powietrzu, złowrogość...

– Ach, gdyby tak deszcz... Tak go, ludziskom, trzeba. Tak się to czuje, tęskniła Nastia.

– Deszczu trzeba! – powiedział Ma-

twiej, przy spotkaniu z sąsiadem. Ziemia, jak gnat, twarda.

– No tak, no tak! Deszczyku brak, – odpowiadał sąsiad. Dzień po dniu praży, jak w piekle.

Wołodźko czuje wszystkimi członkami ciała, uciążliwą długość każdego tygodnia. Pasza za wcześnie więdnie, nie rozmięknie i zaschnie ziarno. A to wiadomo... I kiedy pasie bydło, od czasu do czasu spogląda w niebo, na chmurki, które wychylają się zza lasu. Doszedłszy do połowy nieba, one się rozplywają. Chłopiec jest w rozterce. Ma dość ciekawych osobistych spraw, które go niewątpliwie pochłaniają, ale „*brak domu*” męczy go nawet wtedy, kiedy o nich nie myśli. Cała jego istota odczuwa „*brak domu*”, bo to daje mu odczuć ziemia, żyto, pszenica, krowy i wszystko, co żyje. A czyż on nie jest jednością, czyż nie stanowi całości z wszystkim, co go otacza?

Na pogorzeliśku swojej budy, swego, jak to nazwał, kurenia, stał długo i z bólem w sercu rozmyślał nad tym, jak zemścić się nad zuchwałymi napastnikami. – Czekać, niech przyjdzie jesień, wtedy zobaczymy... Przybiegł wcześniej „z rosą”, bo słońce prażyło, jak w kotle. Postanowił obsadzić sad dębami, ale trzeba je wyhodować. W jednym narożniku sadu założył szkółkę i tam znosił z lasu młodziutkie sadzonki dębów. Ostrożnie wykopywał z ziemi małe drzewka, przynosił w czapce do domu, sadił w rządkach i podlewał. Ale niezależnie od staranności, z jaką pielęgnował swoją szkółkę, roślinki w większości od razu więdły, żółkły i kurczyły się listki na usychających drzewkach, które on tak lubił i pielęgnował. Trzeba było iść znowu do lasu i przynosić nowe sadzonki, na miejsce padniętych.

– Co ty tam znowu wyprawiasz? – Ty,

Kamłuku, jakiś! – Myślisz, że tu wyrosnie las? – martwiła się jego matka... – Lepiej byś poszedł i przyniósł płachtę zieleniny dla krów. Przygonił byś je z pastwiska, już podobnego do deski. Nie uważasz? – Ja sądzę, rozważał Wołodźko, – że dąbczaki przydadzą się w gospodarstwie. No nie? Gdy one wyrosną, to lasu już nie będzie, bo go wyrąbią. Matka uśmiechała się i odchodziła. A ojciec wcale nie miał czasu, by się do takich spraw, wtrącać. Dzięki Bogu, miał dosyć kłopotów, aby jego głowa i ręce, tylko wytrzymały.

„*Za dnia*” pognał Wołodźko, gdy nad lasem od zachodu zaczynały zbierać się wielkie, ciemne kłęby chmur. – „*Ach, żeby one się nie rozeszły, żeby się nie rozeszły?*” – rozmyślał. Stapał, energicznie, jakby radośniej. Słońce zostało jakby otoczone ze wszystkich stron. Ono uparcie zmagало się z olbrzymimi, siwymi chmurami, które zamierzały jakby na nie napisać i udusić je...

„*Idzie, idzie deszczyk,*

Nagotuję ja barszczyku,

Postawię na wierzbie,

Będą jadły wróble.

Zostanie jeszcze tobie...” – wyśpiewuje Wołodźko.

On zadziera wysoko głowę i wbija się wzrokiem w chmury. A one go, jakby zdawały się słuchać. Powoli, niczym trzoda lecących mamutów, zsuwają się szorstkie olbrzymy i zlewają się w jedną masę, barwy stalowej. Spod nich, wysuwają się jeszcze kolejne chmury i chmurki. Barwa nieba ciemnieje. Powietrze zastyga, od czasu do czasu jakby gęstnieje, to znowu rzędzie, jakby tam w górze ktoś po nim deptał i dusił. I gdy niebo przyjmuje barwę starego brązu, gdy zaczyna wirować, wybuchają pierwsze, poprzedzające uderzenia gromów, huki. Słońce naraz gaśnie. Zrywa się wiatr. Znowu i znowu na ciem-

nościach nieba, ktoś błyskawicznie kreśli i wyciera ogniste znaki.

„Fiii! Fiii!” – zawył wiatr. Po drogach podniosła się kurzawa. Wierzchołki dębów rozczochrały się. Po żytach i pszenicach rozbiegły się zgraje groźnych tygrysów. Wołodźko nie stoi, nie siedzi. On biega, skacze, głośno wyśpiewuje jakąś pieśń, jaką w tej chwili wymyślił i jaką zaraz zapomni. Jego głos zмага się z wiatrem. Włosy, koszula, szarpia się, jakby chciały się zerwać, ulecieć pod chmury. Krowy zbijają się do kupy... Kap, kap, kap. Jedna, druga, dziesięć... Na odkrytą głowę spadają strumienie deszczu. Trzasnął piorun. – gurruurrr! – potoczyło się górą. Ktoś otworzył tam zastawę i deszcz prędko, kwaśnawy, zmieszany z gradem, spłynął na ziemię...

Wołodźko, pochyla się... Coraz mocniej i mocniej! Po czuprynie, czole, policzkach, brodzie, ciekłą potoki. Koszulę przemoczyło błyskawicznie. Ciało czuje chłodne strumienie wody, które po nogach ściekają do dołu. Niebo zdecydowanie się wzburzyło i gromy wygrywały swoją wielką muzykę, która tak tęskniła do szarobrązowych dębów. A Wołodźko nie odczuwa dyskomfortu. Odwrotnie. Jemu się zdaje, że to jeszcze za mało. Jemu nadal chce się śpiewać, i gdyby deszcz nie chlapał mu tak w usta, on by zaśpiewał cos podobnego do tego, co działa się wokoło.

Burza tak samo niespodziewanie znikła, jak się pojawiła. Ostatnia czarna chmura, odsłoniła słońce i ono wystrzeliło na świat, swoją gorącą mocą. Brynęło światłem, ciepłem, rozsypało barwami kosztownych kamieni po wszystkim, co rośnie. Zalśniło, aby podnieść z doliny i znad Żołobieńskich i Ugorskich lasów, ciężkie głazy mgieł.

Jezioro teraz wylało i woda swobodnie zalewa trawę. A dookoła świeżo, niewin-

nie, bławatki, maki i wszystko, wszystko zmienacka odczuło młodość i zaśmiało się dźwięcznym, radosnym śmiechem.

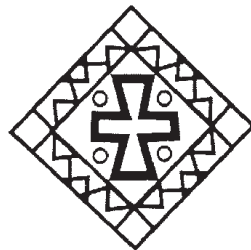
Następnego dnia rankiem, Matwiej postanowił obejść pole i popatrzeć na wszystko, co sprawiły kaprysy nieba. Hej! Hej! Uśmiech szeroki, sam mu wypływa na usta. Rosa dzwoni... A pszenica, gotowa do koszenia, wyległa. Kazał nie dawać gnoju... Będzie kilka kop do zebrania – myśli. A żyto stoi murem, chociaż ledwo co wschodziło, i teraz po nim harcuje poranne słońce.

Oddycha szeroko, lekko. Mięśnie pracują, jak u młodzieńca. Nogi niosą same, długą miedzą, pośród rosy – wzdłuż, w poprzek i z powrotem – wzdłuż. – Cudownie! Rośnie, rośnie! Budował szopę nie dla igraszek. Pomieści się w niej dość żywego złota. – Jeszcze tylko poszyje strych i więcej nowych belek z osiki trzeba naciosać, dodać, choćby od frontu. Aby, chociaż od drogi, był porządniejszy wygląd... A zboże, wejdzie. To, co wejdzie, to wejdzie...

Ulas Samczuk

*Tłumaczenie z języka ukraińskiego
Alfons Soczyński, Alf*

Przygotowujemy do druku t. II i III eposu Ułasa Samczuka „Wołyń”. Proponujemy uwadze naszych P.T. Czytelników tłumaczenie I rozdziału t. II pióra Alfonsa Soczyńskiego „Alfa”.



Dziedzictwo i pamięć - Спадщина і пам'ять

KS. WITOLD KOWALÓW OTRZYMAŁ NAGRODĘ MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



Ks. Vitold-Yosif Kovaliv w latach 1992-2019 był proboszczem kościoła farnego w Ostrogu. Obecnie jest rezydentem przy tej parafii *Fot. Archiwum*

Na wniosek poroniańskiego Oddziału Związku Podhalan ks. Witold Józef Kowalów został laureatem nagrody okolicznościowej Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Kapłan pochodzi z Podhala i zajmuje się m.in. działalnością wydawniczą. Od 25 lat wydaje czasopismo „Wołanie z Wołynia”, poświęcone katolikom narodowości ukraińskiej.

Ks. Witold Józef Kowalów jest członkiem Związku Podhalan Oddział Poronin.

To górale z tego oddziału największej góralskiej organizacji zawniioskowali o nagrodę dla duchownego. – Jest pasjonatem i miłośnikiem historii Polski i Ukrainy (Wołyń), ks. Witold jest znanym bibliofilem, posiadającym ogromną bibliotekę i archiwum. Zbiory te wypełniają cały jego dom, tworząc w nim specyficzną intelektualną atmosferę. Lubi też długie wieczorne dysputy, które śmiało można nazwać na wzór Krzemienieckich mianem „Bie-

siaad Ostrogskich” – mówi KAI Robert Chowaniec z oddziału Związku Podhalan w Poroninie.

Ks. Witold-Yosif Kovaliv vel ks. Witold Józef Kowalów urodził się 29 maja 1967 roku w Zakopanem. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Białym Dunajcu Górnym, rozpoczął naukę w I Liceum Ogólnokształcącym im. Oswalda Balzera w Zakopanem. Egzamin maturalny złożył w 1986 roku. W tym samym roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej.

W 1992 roku otrzymał święcenia kapłańskie i uzyskał stopień magistra historii Kościoła na Wydziale Teologicznym Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Od 1992 roku pracuje na Ukrainie. Pełni posługę wikariusza parafii pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Równem na Wołyniu, wiele lat był proboszczem parafii Ostróg na Wołyniu, parafii Zdobunów i Klewań i parafii Kuniów w diecezji kamieniecko-podolskiej. Jest członkiem Rady Głównej Synodu Archidiecezji Lwowskiej, Rady Kapłańskiej Archidiecezji Lwowskiej. W grudniu 1996 roku został wybrany na członka Rady Kapłańskiej Diecezji Łuckiej.

Jest założycielem i redaktorem naczelnym czasopisma religijno-społecznego rzymskokatolickiej diecezji Łuckiej „Wołanie z Wołynia” (od 1994 r.) oraz serii książkowej „Biblioteka Wołania z Wołynia”. To autor wielu książek, w których porusza historię i teraźniejszość Kościoła katolickiego na Ukrainie.

Nagrodzony kapłan jest członkiem Komisji Episkopatu Rzymskokatolickiego Ukrainy ds. Środków Społecznego Przekazu (od 1999 r.). W 2001 r. razem z Janem Kierznowskim z Krakowa rozpoczął starania o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego ks. Władysława Bukowińskiego (1904-1974). 11 lutego 2005

r. został powołany na członka Komisji Historycznej tegoż procesu. Wykładowca Uniwersytetu Narodowego „Akademia Ostrogska” (2002-2010) i Wyższego Seminarium Duchownego pw. Najświętszego Serca Jezusa diecezji kijowsko-żytomierskiej w Worzelu (2016-2018).

Ks. Witold był wielokrotnie nagradzany, m.in. otrzymał Medal Pro Memoria Urzędu do spraw Komendantów i Osób Represjonowanych w Warszawie, był laureatem IX Polonijnej Nagrody im. Ireny i Franciszka Skowyrów za całokształt twórczości na temat Kościoła katolickiego i Polaków na Wołyniu. Ma też odznaczenia państwowe – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, nagrodę „SEMPER FIDELIS” – honorowe wyróżnienie IPN. W 2012 r. otrzymał nagrodę „Małego Feniksa” za całokształt pracy i wydanie 77 pozycji wydawniczych. Członek Rady Naukowej Instytutu Badań Kościelnych w Łucku. W 2010 r. mianowany kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej Łuckiej.

Ks. Witold zmaga się z chorobą, obecnie jest rezydentem przy parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu.

jg | hsz

Źródło: Depesza KAI:

„Ks. Witold Kowalów otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego” //

<https://ekai.pl/ks-witold-kowalow-otrzymal-nagrade-ministra-kultury-i-dziedzictwa-narodowego/>

22 lipca 2020 roku



Дзiedzictwo i pamięć - Спадщина і пам'ять

PAMIĘCI WOŁYŃSKICH STRZELCÓW. W ROCZNICĘ ZBRODNI KATYŃSKIEJ



Jan Marcinkowski prowadzi swój Oddział Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek ulicą Jagiellońską Zdjęcie z rodzinnego archiwum Tadeusza Marcinkowskiego

W bieżącym roku przypada 80. rocznica zbrodni katyńskiej. W wykazie 3435 ofiar z tak zwanej ukraińskiej listy katyńskiej widnieją nazwiska elity wołyńskiego Związku Strzeleckiego, organizacji paramilitarnej, prowadzącej wychowanie patriotyczno-obywatelskie oraz wyszkolenie wojskowe i proobronne, a uznanej przez Sowietów za organizację kontrrewolucyjną i faszystowską. Wielu wołyń-

skich strzelców po 17 września 1939 roku zostało aresztowanych przez NKWD. Byli przetrzymywani i przesłuchiwani w więzieniach zachodniej Ukrainy. Część z nich – po przewiezieniu do Kijowa – zamordowano strzałem w tył głowy wiosną 1940 roku i pogrzebano w bezimiennych dołach śmierci w podkijowskiej Bykowni. Wśród zamordowanych strzelców, ofiar zbrodni katyńskiej, jest mój dziadek



Komendant Oddziału Z.S. Łuck-Zamek, Jan Marcinkowski, wraz z rodziną na przystani w Łucku

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Tadeusza Marcinkowskiego

Jan Marcinkowski, Komendant Oddziału Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego Związek Strzelecki należał do najbardziej aktywnych organizacji społecznych w II Rzeczypospolitej. Wprawdzie z chwilą wskrzeszenia Państwa Polskiego i jego armii zakończył się ważny rozdział ruchu strzeleckiego, jednak już latem 1919 roku zebrała się grupa dawnych działaczy strzeleckich, legionistów i peowiaków, ze znanym pisarzem Wacławem Sieroszewskim na czele. Za zgodą Naczelnika Państwa Polskiego i twórcy Związku Strzeleckiego postanowiono reaktywować organizację. W nowych realiach zadaniem odrodzonego Związku Strzeleckiego stała się nie walka, ale obrona bytu niepodległej Polski oraz szeroko rozumiana służba Ojczyź-



W salonie domu przy ulicy Zamkowej Jan Marcinkowski, Komendant Oddziału Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek, z synem Tadeuszem. W tle na kilimie szabla oficerska

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Tadeusza Marcinkowskiego

nie. Wszystkich członków obowiązywał strzelecki dekalog, którym rządziła zasada: „*Salus reipublicae suprema lex*” („*Dobro Rzeczypospolitej prawem najwyższym*”). Na krótko rozwój organizacji powstrzymała wojna polsko-bolszewicka. W lipcu 1920 roku, wobec zbliżającej się do Warszawy ofensywy Armii Czerwonej, zawieszono funkcjonowanie Związku i zaapelowano do członków o walkę w obronie Ojczyzny. Odzew był powszechny. W odpowiedzi na apel zgłosiło się około 10 tysięcy czynnych strzelców [1]. Wielu z nich zasiliło szeregi regularnego bądź ochotniczego wojska, pełniło służbę w oddziałach specjalnych, policji czy straży porządkowej. Po zakończeniu przełomowej dla losów wojny polsko-bolszewickiej bitwy warszawskiej, już 26 sierpnia 1920 roku organizacja wznowiła działalność.

Związek Strzelecki działał na trzech płaszczyznach: po pierwsze wychowania obywatelskiego – patriotycznego i pronarodowego, po drugie – przygotowania



Na podwórku rodzinnego domu przy ulicy Zamkowej z flagą strzelecką syn Komendanta Oddziału Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek, Tadeusz Marcinkowski. Łuck, lata trzydzieste

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Tadeusza Marcinkowskiego

członków do służby wojskowej (szkolenie młodzieży przedpoborowej w wieku 18-21 lat i podtrzymywanie wyszkolenia wojskowego rezerwistów), po trzecie – wychowania fizycznego i sportu. Organizacja obejmowała wszystkie warstwy społeczne, zwłaszcza młodzież robotniczą i chłopską. Inteligencję i osoby starsze zrzeszały Kluby Przyjaciół Związku Strzeleckiego, na czele których stała Marta Rydz-Śmigłowa. W Związku Strzeleckim działały też kobiety. Panie były szczególnie doceniane w pracy kulturalno-oświatowej. Ich wyszkolenie dotyczyło przede wszystkim pomocniczej służby wojskowej. Dzieci i młodzież poniżej



Ołyka. Przemarsz strzelców. Zdjęcie z wołyńskiej kolekcji Tadeusza Marcinkowskiego.

**Dar Anny Kotowicz-Eysmont
Zdjęcie z rodzinnego archiwum Tadeusza Marcinkowskiego**

18 lat skupiała się w „Orlętach” – po ZHP najliczniejszym stowarzyszeniu młodzieży polskiej, którego nazwa nawiązywała do Orłat Lwowskich.

W kwestiach organizacyjnych największą jednostką Związku Strzeleckiego stanowił okręg, pokrywający się mniej więcej z wojskowo-administracyjnym podziałem kraju, przy czym okręg zasięgiem dotyczył raczej obszaru wojskowego Dowództwa Okręgu Korpusu niż dokładnie jednego województwa. Z kolei najmniejszą jednostką Związku Strzeleckiego był oddział, obejmujący gminę wiejską lub jedną z dzielnic miasta. Oddziały położone na terenie jednego powiatu administracyjnego tworzyły Powiat (w latach dwudziestych Obwód) Związku Strzeleckiego, kierowany przez Zarząd i Komendanta. Z dumą należy podkreślić, że na Kresach Wschodnich po utworzonym w 1920 roku Okręgu Strzeleckim Lwów już rok później, jesienią 1921 roku, powstał Okręg Strzelecki Wołyń, zamieniony w 1929 roku na Podokręg Łuck, a następnie na Podokręg Wołyń.



Gmach więzienia w Łucku, w którym do wiosny 1940 roku, wraz z innymi łuc-kimi strzelcami, był przetrzymywany Jan Marcinkowski, Komendant Oddziału Z.S. Łuck-Zamek. Widok więzienia od strony rzeki. Karta pocztowa D. Grober, Warszawa *Pocztówka ze zbiorów Tadeusza Marcinkowskiego*

Organizacyjne początki Związku Strzeleckiego na Wołyniu nie były łatwe. Pod względem zajmowanego obszaru województwo wołyńskie było drugim co do wielkości województwem II Rzeczypospolitej. Obejmowało rozległe tereny, pełne żyznych pól, ale także lasów i bagien Polesia Wołyńskiego. Odległości między poszczególnymi miejscowościami były ogromne, a komunikacja między ośrodkami mocno utrudniona. Województwo wołyńskie charakteryzowało się również dużym zróżnicowaniem narodowościowym i religijnym. Tuż po pierwszej wojnie światowej, po trwającej ponad wiek akcji wynaradawiania, akcji niszczenia i prześladowania wszystkiego, co polskie, w tym wiary katolickiej i oświaty, po zrywach powstańczych, po konfiskatach majątków, po zsyłkach na Sybir, po przymusowej emigracji wartościowych jednostek, wobec zakazu nabywania ziemi przez katolików, Polacy sta-

nowili niewielki procent ludności. Wołyn nieestety należał także do najbardziej zaco-fanych i zniszczonych przez wojnę dziel-nic kraju. W okresie działań wojennych stanowił teren długotrwałych walk pozy-cyjnych. Wielokrotnie przemierzały go wrogie armie. Wszystko, co przedstawia-ło jakąkolwiek wartość, zostało zagrabio-ne. Budynek, drogi i mosty uległy zniszczeniu. Przemysł znajdował się w ruinie. Handel został rozbity. Pola, łąki, pastwi-ska były zorane wybuchami. Ci, których domy i gospodarstwa zostały zniszczo-ne, żyli w prowizorycznych ziemiankach. Apropozycja walczących ze sobą armii pochłonęła żywy inwentarz, zapasy i ziarno pod zasiew. Ludzie głodowali. Dzie-siątkowały ich epidemie. Świadomość tej trudnej sytuacji mieli pierwsi działacze strzeleccy. „*Trudno mówić o pracy orga-nizacyjnej, o wychowaniu fizycznym i mo-ralnym ludziom, niemającym częstokroć dachu nad głową, ludziom, którzy dzień i*

noc bez przerwy często muszą pracować, aby zrównoważyć zniszczenia dwóch wojen, aby wybudować schronisko na zimę i zapewnić sobie chleb powszedni” – relacjonował Antoni Gajl-Kot z Równego [2].

Mimo tak skomplikowanych warunków z inicjatywy byłych legionistów i powoiaków, przy wydatnym poparciu Straży Kresowej, na terenach, które jak Kostiuchonówka spłynęły krwią polskiego żołnierza, na terenach, gdzie po zakończeniu działań wojennych w Osadzie Krechowickiej, Osadzie Jazłowieckiej, Piłsudczyźnie, Bajonówce, Hallerowie, Poniatówce, Ułańskiej Doli i innych osadach wojskowych osiedli dawni legioniści, szybko zaczęły powstawać pierwsze oddziały Towarzystwa Związku Strzeleckiego. Chlubnie wyróżniał się w tym względzie między innymi Ostróg, położony przy granicy z Sowietami. Już w marcu 1922 roku piąty numer związkowego pisma „Strzelec” informował o założeniu w ostrogskim gimnazjum z inicjatywy strzelca Stanisława Łukomskiego pierwszego na terenie Wołynia szkolnego oddziału Związku Strzeleckiego. W jego Zarządzie zasiadał dyrektor gimnazjum T. Herbich, ale znaleźli się tu również starsi gimnazjaliści, którzy – co znamienne dla Kresów – byli już dobrze zaznajomieni z wojaczką jako uczestnicy wojny polsko-bolszewickiej. W tym początkowym okresie oddziały strzeleckie powstały między innymi w: Łucku, Rożyszczach, Sarnach, Radomyślu, Jezierzanach, Horochowie, Łokaczach, Świszczowie i Bubnowie, Kowlu, Hobocie, Zasmykach i kilku miejscowościach powiatu krzemienieckiego.

Jesienią 1921 roku, by nadać ramy organizacyjne oddziałom, rozproszonym na olbrzymim terenie nowo utworzonego województwa wołyńskiego, powołano do życia Okręg Strzelecki Wołyń. Zarząd Główny w Warszawie, z osób mieszkających i działających przede wszystkim

w Łucku, utworzył Tymczasowy Wołyński Zarząd Okręgowy Związku Strzeleckiego, w którym między innymi znalazły się znane i cenione w miejscowym środowisku osoby, takie jak mec. Stanisław Huskowski, miejscowy notariusz Ignacy Rzążewski, mec. Piotr Wyrzykowski czy Karol Waligórski. Siedzibą Komendy Okręgu był Dom Ludowy w Łucku przy ulicy Jagiellońskiej 6. Funkcję Prezesa Zarządu Okręgu Związku Strzeleckiego na Wołyniu w latach 1922-1939 pełnił Antoni Staniewicz, urodzony w Zabłociu w powiecie dubieńskim ziemianin, adwokat, wybitny działacz społeczny i polityczny, w latach trzydziestych senator III i IV kadencji. Na początku lat dwudziestych (1922-1923) Komendantem Okręgu był Jan Płachta, pod którego dowództwem, okręg funkcjonował bardzo sprawnie – nie było niemal numeru związkowego pisma „Strzelec”, które by nie przynosiło informacji o nowo powstałych na Wołyniu oddziałach czy o działalności wołyńskich strzelców. W październiku 1923 roku, by zerwać z sytuacją tymczasowości, zwołano powszechny zjazd delegatów Okręgu Wołyńskiego, który miał na celu skonsolidowanie środowiska strzeleckiego. Zgodnie ze związkowym statutem w drodze wyborów wyłoniono nowy Zarząd Okręgowy, Komisję Rewizyjną i Sąd Honorowy. Na październikowym zjeździe teren Wołynia podzielono na obwody, co znacznie usprawniło pracę organizacyjną. Nieocenionego Jana Płachtę, któremu powierzono urząd starosty zdołbunowskiego, zastąpił osadnik wojskowy Bolesław Sarankiewicz. Później funkcję Komendanta Okręgu pełnili kolejno: Józef Pałac, dawny Komendant Okręgu Przemyśl, czasowo Jan Urbaniec, a po nim por. Zarębski. Ostatnim Komendantem Okręgu Wołyń (1934-1939) był kpt. Józef Filar.

Związek Strzelecki stanowił jedną z najstarszych i najbardziej popularnych or-

organizacji na Wołyniu. Jak pisał redaktor „Przeglądu Wołyńskiego”, „jako pierwszy docierał do zapadłych kątów Wołynia i tam niósł kulturę polską”. W 1923 roku na terenie Wołynia istniało zaledwie 30 oddziałów [3], dziesięć lat później były to już 182 oddziały z 5587 członkami [4]. W odróżnieniu od innych stowarzyszeń Związek Strzelecki zasięgiem obejmował szeroki krąg wołyńskiego społeczeństwa. Do „Strzelca” należała przede wszystkim młodzież (zwłaszcza chłopcy, ale też dziewczęta), a także dorośli i jako tzw. orlęta strzeleckie – dzieci. Do „Strzelca” należeli mieszkańcy miast, wsi i osad. Członkowie Związku Strzeleckiego na Wołyniu stanowili wielką strzelecką rodzinę. Wspólnie obchodzono strzeleckie święta: 22 stycznia jako rocznicę powstania styczniowego, 19 marca, czyli dzień imienin Marszałka Piłsudskiego, rocznicę uchwalenia Konstytucji Trzeciego Maja, święto organizacyjne, czyli dzień 6 sierpnia jako datę wymarszu Kompanii Kadrowej, 16 sierpnia – datę przełomu w bitwie warszawskiej, Święto Niepodległości i rocznicę powstania listopadowego. Wspólnie, często we współpracy z innymi organizacjami, przygotowywano kościelne oraz regionalne uroczystości czy święta państwowe. Spotykano się na „Strzeleckim Oplatku”, zabawie sylwestrowej, „Wieczornicy Karnawałowej” czy „Maskaradzie”, ale też obchodzono imieniny lub strzeleckie śluby, wyjazdy strzelców do wojska bądź powroty. W niedzielę niekiedy całymi oddziałami – jak w Ołyce – maszerowano na Mszę Świętą i dopiero później na obowiązkowe zajęcia w terenie. W okresie dwudziestolecia międzywojennego niemal każda wołyńska miejscowość starała się mieć swoją drużynę strzelecką, swoją strzelecką świetlicę czy dom strzelecki. Mocne ośrodki pracy strzeleckiej u zarania istnienia organizacji stanowiły Łuck, Kowel, Ostróg, Zdołbu-

nów i Dubno. W latach trzydziestych bezkonkurencyjna okazała się Janowa Dolina. Tam, gdzie pojawiał się obdarzony pasją, talentem organizacyjnym i charyzmą działacz, natychmiast wspaniale ruszała praca organizacyjna, natychmiast było widać efekty działalności strzelców, natychmiast pojawiały się nowe, ciekawe inicjatywy. W Łucku trudno wyobrazić sobie organizacyjne początki bez mec. Antoniego Staniewicza, Jana Płachty czy Komendantki Okręgu Wołyńskiego Heleny Małeckiej, w Kowlu bez Karola Walińskiego, Stanisława Panka czy Stanisława Wąsika, w Ostrogu bez Stanisława Łukomskiego, w Dubnie bez Jerzego Bonkowicz-Sittauera, w Ołyce bez Tadeusza Eysmont-Kotowicza, w Równem bez Jakuba Hoffmana, w Janowej Dolinie bez inż. Feliksa Urbanowicza. Praca ludzi, którzy ze swojego życia uczynili służbę odrodzonej Ojczyźnie, w wielu aspektach przyniosła wspaniałe rezultaty. Dzięki ich zaangażowaniu za sprawą strzelców o Wołyniu i Wołyniakach usłyszała cała Polska.

Jakie zadania wypełniał Związek Strzelecki? Przede wszystkim stanowił najważniejszą organizację o charakterze paramilitarnym na Wołyniu. Od początku istnienia zasadniczym celem jego pracy było przysposobienie wojskowe. Głoszone przez organizację hasło: „Naród pod bronią” oznaczało nastawienie działalności na powszechne szkolenie społeczeństwa na wypadek przyszłej wojny. Wyszukolenie wojskowe obejmowało młodzież przedpoborową, dla której było przygotowaniem do obowiązkowej służby w różnych oddziałach Wojska Polskiego, oraz rezerwistów – tu po odbyciu służby wojskowej służyło podtrzymaniu sprawności bojowej i nawyków wyniesionych z wojska. Prowadzono zatem wykłady i ćwiczenia, w tym polowe. Organizowano obozy i kursy, a sprawdzianem wyszkolenia wojskowego były tak zwa-

ne koncentracje, który pozwalały na prowadzenie zajęć i ćwiczeń w ramach większych formacji. Przy wyszkoleniu wojskowym prócz własnych instruktorów posiłkowano się instruktorami oddelegowanymi z wojska. Bliskie kontakty łączyły na przykład łuckich strzelców ze stacjonującym w mieście 24 pułkiem piechoty. Razem przygotowywano ważne uroczystości, defilady, przemarsze czy inne imprezy, ale i razem świętowano, na przykład – jak wspominał ojciec i jego starsza siostra – powitanie Nowego Roku. Na pułkowej strzelnicy odbywały się organizowane przez Związek Strzelecki Okręgowe Zawody Strzeleckie. Do momentu otwarcia Stadionu Sportowego im. Marszałka Piłsudskiego na pułkowym boisku rozgrywano związkowe zawody sportowe. Za sprawą 24 p.p. odbywały się kursy dla komendantów oddziałów i instruktorów Związku Strzeleckiego z Okręgu Wołyń. Popularną formą podnoszenia kwalifikacji wojskowych był udział strzelców w ćwiczeniach, prowadzonych przez wojsko, oraz w manewrach.

W założeniach organizacji najważniejszą dziedzinę sportu, tzw. „sport obrony narodowej”, stanowiło strzelectwo. Związek Strzelecki upowszechniał sport strzelecki i patronował różnym konkursom i zawodom w tej dziedzinie, np. na Odznakę Strzelecką. Mógł ją zdobyć każdy obywatel bez względu na płeć, wiek czy przynależność organizacyjną. Odznaka Strzelecka była symbolem spełnienia ważnego czynu obywatelskiego. Od kwietnia do listopada w całym województwie wołyńskim odbywały się imprezy pod nazwą „10 strzałów ku chwale Ojczyzny”, mające na celu propagowanie strzelectwa wśród szerokich mas ludności. Były to najbardziej powszechne zawody strzeleckie, podczas których można było zdobyć Odznakę Strzelecką. Takie „ostre strzela-

nie” odbywało się na przykład w Łucku na dziedzińcu zamku Lubarta. Związek Strzelecki zapewniał chętnym broń, amunicję i tarcze. Opłata za serię dziesięciu strzałów plus trzy strzały próbne wynosiła 50 gr. Dla podniesienia poziomu strzelających członków Związku organizowano też doroczne zawody strzeleckie na wszystkich szczeblach organizacyjnych i prowadzono ewidencję „Rekordów strzeleckich Związku Strzeleckiego”.

Pod koniec lat dwudziestych podjęto próbę szkolenia strzelców w innych dziedzinach, przydatnych dla wojska. Kto miał własnego konia oraz posiadał wyposażenie jeździeckie, mógł służyć w tzw. Krakusach. Strzelcy na koniach wyglądali niezwykle malowniczo. Dodawali kolorytu lokalnym uroczystościom, jak strzelcy z Piłsudczyzny, Torczyzna, Hulczy Czeskiej czy Zaslawia. Krakusi uczestniczyli w wielu ważnych wydarzeniach w województwie. W 1929 roku konne oddziały „Strzelca” z Wiktorówki towarzyszyły w podróży ks. bp. Adolfowi Szelażkowi, z kolei w 1938 roku banderia Krakusów, złożona z okolicznych osadników, eskortowała orszak Prymasa Polski do Wiśniowca. Na początku lat trzydziestych pojawiły się nowe kluby i sekcje o specjalnościach szczególnie ważnych dla wojska: szybcowce, motocyklowe i automobilowe, radiowe (krótkofalarstwa) i kajakerskie. W zorganizowanej w 1933 roku wspaniałej akcji propagandowej, czyli w tzw. Spływie do Morza, wzięło udział 600 strzelców i ponad 300 jednostek pływających. Wśród uczestników nie zabrakło Wołyniaków, między innymi sześciu strzelców z Oddziału w Ostrogu nad Horyniem. Młodzi zawodnicy, płynąc kajakami ze swojej miejscowości do Gdyni, od 26 czerwca do 17 sierpnia pokonali rekordową trasę: Horyń – Prypeć – Jasiołda – Kanał Ogińskiego – Szczara – Nie-

men – Kanał Augustowski – Biebrza – Narrew – Wisła, liczącą 2300 km. Z kolei po śmierci Józefa Piłsudskiego sekcja motocyklowa z Łucka wzięła udział w wielkim ogólnopolskim rajdzie motocyklowym pod hasłem „Z ziemią na kopiec Marszałka Piłsudskiego”. Dzięki strzelcom-motocyklistom, którzy – nie zważając na pogodę i związany z nią dramatyczny stan wołyńskich dróg – przebyli wiele kilometrów, ziemia z wołyńskich pól bitewnych w specjalnych urnach trafiła do Krakowa. Oryginalną sekcją, której zadanie na wypadek wojny miało polegać na wspieraniu wojska w sprawach łączności, była sekcja gołębi pocztowych, np. kowelscy strzelcy byli zrzeszeni w Towarzystwie Gołębi Pocztowych i Rasowych „Turia”.

Związek Strzelecki dbał również o ogólną sprawność fizyczną młodzieży przedpoborowej i podtrzymanie tej sprawności w wypadku tych, którzy już odbyli służbę wojskową. Propagował różne sporty masowe jak marsze, gry i zabawy ruchowe, sporty wodne, ale także lekką atletykę, boks, kolarstwo czy narciarstwo. Do ciekawszych tradycji sportowych w Okręgu Wołyńskim należał Marsz Ołyka-Łuck, zorganizowany po raz pierwszy w 1927 roku. Każdy region Polski miał też swój szlak chwały oręża polskiego. Na Wołyniu, w rocznicę największej i najtrudniejszej bitwy, stoczonej przez Legiony Piłsudskiego w lipcu 1916 roku, organizowano tzw. Marsz na Polską Górę, który należał do najpopularniejszych w Polsce okręgowych zawodów marszowych. W rywalizacji prócz strzelców brały udział między innymi drużyny z jednostek wojskowych, Policji Państwowej, Korpusu Ochrony Pogranicza, Związku Rezerwistów, Związku Legionistów, Kolejowego Przystosobienia Wojskowego czy Ochotniczej Straży Pożarnej. Pierwszy Marsz na Polską Górę zapoczątkowały uroczysto-

ści, które odbyły się na Wołyniu 15 lipca 1928 roku. W ich przygotowaniu uczestniczył mój dziadek Jan Marcinkowski. Z pewnością wykazał się wówczas talentami organizacyjnymi, gdyż po uroczystości mianowano go na stanowisko Komendanta Powiatu Łuck, z której to funkcji zrezygnował po narodzinach syna Tadeusza. W latach trzydziestych na szlaku Maniewiczze-Kostiuchnowka bezkonkurencyjna okazała się drużyna strzelców z Janowej Doliny, która świętowała sukcesy także w innych ogólnopolskich zawodach marszowych, m.in. w Marszu Sulejówek-Belweder (I miejsce w latach 1934-1939) czy w Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej. Dobrze funkcjonowały strzeleckie sekcje piłki nożnej, lekkiej atletyki, sekcje kolarskie czy narciarskie. Warto wymienić choćby zwycięstwo Henryka Cybulskiego, zawodnika „Strzelca” Łuck, a później tegoż autora „Czerwonych noczy”, w VIII Narodowym Biegu Naprzelaj (pisownia oryginalna) czy drugie miejsce narciarzy z Janowej Doliny w 1937 roku w Marszu Narciarskim na trasie Zułów-Wilno, gdzie początkowo triumfowały wyłącznie zespoły z Karpat. Rozgrywano zawody nie tylko z drużynami z innych miejscowości, powiatów czy okręgów strzeleckich. Wołyńscy zawodnicy brali też udział w rywalizacji o charakterze międzynarodowym. W styczniu 1936 roku do Janowej Doliny przyjechali reprezentanci łotewskiej drużyny bokserskiej. Na ringu zmierzyli się bokserzy z KS „Strzelec” Janowa Dolina i LAS Riga. Mecz bokserski zakończył się zwycięstwem wołyńskich pięściarzy.

Chociaż Związek Strzelecki głosił hasło: „Naród pod bronią”, zmierzając do przygotowania społeczeństwa na wypadek wojny, na Wołyniu na pierwszym miejscu stawiał przede wszystkim wychowanie narodowe. Dążył do rozbudzenia i hartowania w strzelcach ducha na-

rodowego, karność, wytrwałości, uczciwości, uczył ofiarności i bezinteresownej pracy dla Ojczyzny, dzielności moralnej i fizycznej. Przygotowywał kursy, wykłady, pogadanki i odczyty, mające na celu podnoszenie wiedzy ogólnej i specjalistycznej strzelców, wiedzy o Państwie Polskim i jego historii, wiedzy o organizacji i bohaterach walk o Polskę, uczył, jak zrozumieć swój kraj (zasady funkcjonowania państwa, samorządu terytorialnego, poszczególnych urzędów, prawa) i otaczającą rzeczywistość oraz jak znaleźć w niej swoje miejsce (różnego typu sekcje, kursy przysposobienia rolniczego i zawodowego). Organizował służące wychowaniu patriotycznemu obozy, wycieczki krajoznawcze i historyczne, popularyzujące miejsca i zabytki kultury narodowej oraz osiągnięcia gospodarcze kraju, np. w 1929 roku strzelcy z całego Wołynia uczestniczyli w wycieczce na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu. Zwiedzali też Kraków, Lublin, Wieliczkę, Warszawę, Łódź, Śląsk czy Gdynię. Niekiedy goście z Wołynia na ulicach miast wzbudzali zainteresowanie oryginalnymi, ludowymi strojami. Tak było w wypadku wycieczki strzelców-Poleszuków, którzy do stolicy pojechali w przepisowych maciejówkach, ale i w białych, haftowanych koszulach, przepasanych żołnierskimi pasami. Wiosną i latem strzelcy chętnie pieszo, rowerami czy kajakami przemierzali okolicę, ucząc się miłości do swojej małej kresowej Ojczyzny – Wołynia. Takie wyprawy stawały się prawdziwymi lekcjami patriotyzmu. Strzelcy poznawali historię wołyńskich miast i zabytków, studiowali losy związanych z regionem postaci. Uczyli się szanować przyrodę. Przypominano im, że las to dobro narodowe, że od wieków dawał schronienie Polakom, walczącym o niepodległość. Na krajoznawcze wycieczki w teren strzelcy wyruszali

zazwyczaj dobrze przygotowani, np. podkomendni mojego dziadka Jana Marcinkowskiego przed taką wyprawą wysłuchali wykładu prof. Stefana Macko na temat ochrony wołyńskich lasów i przyrody.

W Związku Strzeleckim szczególną estymą darzono tego, który powiódł naród ku niepodległości, twórcę i ideologa ruchu strzeleckiego – legendarnego Komendanta Józefa Piłsudskiego, uznawanego za patrona organizacji. Pielęgnowano pamięć o „*czynie niepodległościowym*”, o legionowych bohaterach oraz o rocznicach, związanych z walką o Państwo Polskie i jego granice. Ważnym wydarzeniem o charakterze ideowym od 1924 roku był Marsz Szlakiem Kadrowki. Przypominał, iż strzelcy są spadkobiercami najpiękniejszych tradycji odrodzonego Państwa Polskiego. Z kolei w marcu organizowano Marsz im. Lisa-Kuli, a w lipcu Marsz na Polską Górę. Dla oddania hołdu dawnym bohaterom oddziały strzeleckie wybierały na patronów legionistów, zasłużonych działaczy strzeleckich, i tak w Powursku działał Oddział Strzelecki im. ks. Biskupa Bandurskiego, a przy Państwowym Monopolu Wyrobów Tytoniowych w Kowlu Oddział Strzelecki im. gen. Władysława Jaksy-Rożena. Troszczono się o groby bohaterów i pamiątki, związane z walką o niepodległość. Strzelcy sprawowali opiekę nad pomnikami i grobami powstańców styczniowych oraz mogiłami i cmentarzami z okresu I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. Dzięki ich inicjatywie w wołyńskich kościołach w listopadowe święto z imienia i nazwiska wymieniano tych, którzy zginęli w walkach na Wołyniu, a przy ich grobach stały strzeleckie warty. Tak było między innymi w Łucku, gdzie przy grobie kurierki J. Latałówny trzymały wartę łuckie strzelczynie. Za sprawą strzelców w wielu miejscowościach w miejscach krwawych po-

tyczek ustawiono krzyże lub wmurowano pamiątkowe tablice. W 1928 roku dzięki Jakubowi Hoffmanowi, Komendantowi Obwodu Równe, odbyła się wystawa pamiątek legionowych, widokówek, fotografii, prasy nielegalnej z lat 1915-1918. W 1935 roku Okręg Wołyń zakupił słynną „Komendantową Chatę”, w której w czasie krwawych walk legionowych na Wołyniu kwaterował Józef Piłsudski. Kiedy 12 maja 1935 roku, po długiej i ciężkiej chorobie, zmarł Józef Piłsudski, wołyńskie miasta okryły się kirem. Pograżeni w bólu strzelcy we wszystkich miejscowościach województwa brali udział w organizowaniu uroczystości żałobnych, w trakcie których istotnym elementem było złożenie ślubowania na wierność ideom Marszałka. W dniu składania prochów Józefa Piłsudskiego do grobów królewskich na Wawelu we wszystkich oddziałach Związku Strzeleckiego odbyły się żałobne akademie. Każdy strzelecki powiat wysłał też swoją delegację na uroczystości pogrzebowe w Krakowie. Staraniem strzelców w wielu miastach – jak w Wiśniowcu – stanęły pomniki Józefa Piłsudskiego. Z okazji kolejnych rocznic śmierci ukochanego Komendanta wołyńskie oddziały strzeleckie organizowały żałobne wieczornice.

Niegdyś szary strzelecki mundur był znakiem poświęcenia życia w imię „wskrzeszenia Niepodległej”. W wolnej Polsce stał się symbolem pracy na rzecz Ojczyzny. Związkowi działacze, szkoląc kolejne pokolenia wołyńskich strzelców, uczyli nie tylko, jak walczyć o kraj, ale przede wszystkim, jak w każdym aspekcie świadomie troszczyć się o wspólne dobro, jakim jest Państwo Polskie. Strzelecki dekalog zakładał czynną służbę dla Ojczyzny. Co najmniej trzy godziny tygodniowo należało poświęcić na konkretną pracę obywatelską. Dzięki tej inicja-

tywie, szczególnie w małych miejscowościach, strzelcy stali się prawdziwymi animatorami życia społecznego. Ważną formę „służby Ojczyźnie” stanowiły różnego rodzaju akcje społeczno-obywatelskie, np. konkursy zbiorowych czynów obywatelskich. Wołyńscy strzelcy pomagali w budowie szkół, świetlic i domów ludowych, ale to nie wszystko – w Dubnie mieszkańcy okolic stacji kolejowej byli wdzięczni za ołtarz, który stanął w świetlicy strzeleckiej oddziału Dubno-Stacja Kolejowa. Z kolei strzelcy z Klesowa uczestniczyli w budowie miejscowego kościoła, dowożąc do budowy 87 wózków piasku. Strzelcy wznosili przydrożne kapliczki i opiekowali się nimi. Naprawiali mury cmentarzy. Budowali bądź naprawiali drogi i obsadzali je drzewami. Wiosną czy jesienią zbierali na polach kamienie, by włożyć nimi dojazdy do lasów czy dziurawe lokalne drogi. Pomagali w odśnieżaniu tych dróg zimą. Zakładali boiska i strzelnice – wzorowo przygotowaną strzelnicę oraz zgodne z najnowszymi osiągnięciami techniki boisko sportowe w ramach czynu obywatelskiego w 1932 roku oddali do użytku strzelcy z Maniewicz. W planach mieli też dom oświatowy, który mieściłby muzeum legionowe, świetlicę strzelecką, bibliotekę oraz salę odczytowo-teatralną. Z kolei strzelcy ze Zdołbunowa w 1934 roku uczestniczyli w zakładaniu Parku Miejskiego i budowie Stadionu Sportowego. Po wsiach naprawiali studnie i płoty. Świadczyli pomoc w pracach polowych. Pracowali społecznie przy melioracji i regulacji rzek. Spieszyli z pomocą w czasie klęsk żywiołowych i różnych wypadków losowych, wykazując się wielką wytrzymałością, sprawnością i odwagą. Za sprawą prasy cała Polska mogła przeczytać o bohaterskim czynie dubieńskiego strzelca Jana Nowaczyka, który nadludzkiem wysiłkiem uratował z nurtów Ikwy troje to-



Tadeusz Marcinkowski, syn Komendanta Oddziału Związku Strzeleckiego Luck-Zamek przy tablicy epitafijnej, poświęconej jego ojcu Janowi Marcinkowskiemu. Polski Cmentarz Wojenny w Kijowie-Bykowni, 21 września 2012 roku

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Małgazy Ziemskiej z domu Marcinkowskiej

nających miłośników sportów wodnych. Strzelcy wykazywali się nie tylko bohaterstwem, ale i ofiarnością. Kiedy w 1934 roku południowe województwa Rzeczypospolitej ogarnęła klęska powodzi, strzelcy z powiatu dubieńskiego w krótkim czasie zebrali dla powodziarzy, między innymi 4142 zł i 147 kg chleba oraz mnóstwo innych potrzebnych produktów, a w całej akcji zbiórki przodowały oddziały: Dubno-Stacja Kolejowa i Jeziorany. Szczególną ofiarnością wykazała się dubieńska orkiestra strzelecka, która wielokrotnie koncertowała na rzecz powodziarzy [5].

Członkowie Związku Strzeleckiego uczestniczyli w akcjach ogólnopństwowych zbiórek, na przykład na Fundusz Obrony Narodowej, ale także inicjowali je. W 1928 roku postanowili na przykład zgromadzić fundusze na wysłanie polskiej reprezentacji na Igrzyska Olimpijskie w Amsterdamie, okazało się bowiem, że kwota, którą Rząd Polski przeznaczył na ten cel, była niewystarczająca. Pod hasłem: „Z małej sumy – wielkie pieniądze!” ruszyła zatem akcja zbierania pięciogroszówek. Obliczono, że gdyby wzięły w niej udział wszystkie oddziały strzeleckie, zgromadzona suma mogłaby pokryć koszty wysłania niemal całej reprezentacji Polski na Igrzyska Olimpijskie. Jako jeden z pierwszych pieniądze na ten cel wpłacił Józef Pałac, Komendant Okręgu Wołyń. Strzelcy zbierali także pieniądze na łódź podwodną im. Marszałka Piłsudskiego, czyli legendarny podwodny okręt torpedowy ORP „Orzeł”. Dzięki zgromadzonym przez strzelców funduszom w latach trzydziestych pojawiła się w Warszawie reprezentacyjna strzelnica im. Marszałka Piłsudskiego, a w 1934 roku w IV Międzynarodowych Zawodach Lotniczych (Challenge 1934) o polski honor walczył samolot strzelecki „Piłsudczyk”. W powiecie kostopolskim w tej zbiórce przodował Oddział Strzelecki Berezne, którego prezes, a jednocześnie wójt gminy, Franciszek Zborowski, osobiście zajął się akcją sprzedaży znaczków na samolot i w osiem godzin rozsprzedał całą przyznaną z Komendy Powiatu pulę.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej coraz częściej w tok zajęć roku wyszkoleniowego wpisywały się ćwiczenia z obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej oraz kursy sanitarne, usuwając w cień inne działania. Uczono się, jak skutecznie zaciemniać okna, jak zakładać maski przeciwgazowe, jak udzielać pierwszej

pomocy. W sierpniu 1939 roku w całym kraju rozplakatowano obwieszczenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, dotyczące wzmocnienia pogotowia zbrojnego. Z dniem 31 sierpnia do czynnej służby wojskowej powołano tych rezerwistów, którzy otrzymali już karty mobilizacyjne ze wskazaniem kiedy, gdzie i do jakiej formacji wojskowej powinni się zgłosić. Powołaniu nie podlegali ci, którzy nie otrzymali jeszcze kart mobilizacyjnych. Zarząd Główny Związku Strzeleckiego w specjalnej odezwie przypominał członkom, że strzelcy, którzy nie zostali zmobilizowani, powinni służyć pomocą wojsku i władzom administracyjnym, czuwać nad stanem dróg i mostów, nad całością linii telefonicznych, nad nienaruszalnością mienia wojskowego, państwowego i samorządowego oraz otaczać troskliwą opieką rodziny osób powołanych do woj-ska.

Niewielki zespół działaczy Związku Strzeleckiego na czas wojny otrzymał specjalne dyrektywy. Już na początku lat trzydziestych przystąpiono do tworzenia tajnych struktur organizacyjnych na wypadek zajęcia przez nieprzyjaciela przygranicznych terenów Państwa Polskiego. Głównym zadaniem kierujących nimi inspektorów było organizowanie tajnych ogniw „pogotowia obywatelskiego” (Sekcje Pogotowia Obywatelskiego). Z kolei spośród najbardziej zaufanych członków tworzono jeszcze bardziej zakonspirowane terenowe zespoły do zadań specjalnych. Miały one przeprowadzać działalność dywersyjną i wywiadowczą na terenach czasowo zajętych przez nieprzyjaciela. W grudniu 1938 Sekcja Pogotowia Obywatelskiego „Wołyń” liczyła 110 członków i współpracowników. W mocno zróżnicowanym pod względem narodowościowym i religijnym oraz targanym różnymi konfliktami środowisku Kresów

Wschodnich, mimo zachowania wielkiej ostrożności, mimo przestrzegania zasad konspiracji, po wkroczeniu Sowietów los takich grup specjalnych był właściwie przesądzony.

Po 17 września 1939 roku rozpoczął się trudny dla Wołyniaków okres okupacji sowieckiej. Związek Strzelecki jako organizacja o charakterze paramilitarnym został uznany przez NKWD za „organizację kontrrewolucyjno-faszystowską”. Niemal natychmiast strzelców objęły aresztowania. Uwięziono Prezesa Okręgu Wołyńskiego Związku Strzeleckiego, senatora Antoniego Staniewicza. W połowie października 1939 roku grupa operacyjno-czekistowska nr 3, dowodzona przez starszego lejtnanta bezpieczeństwa państwowego P. Krutowa, aresztowała w Łucku mecenasa Józefa Kurmanowicza, Komendanta łuckiego Związku Strzeleckiego, oraz Władysława Leję, zastępcę komendanta tej organizacji, zatrzymano również wiele innych osób, związanych z wołyńskim „Strzelcem” [6]. W nocy z 9 na 10 grudnia aresztowano mojego dziadka Jana Marcinkowskiego, Komendanta Oddziału ZS Łuck-Zamek, który przez Równe powrócił do Łucka z Warszawy. Jego syn Tadeusz Marcinkowski tak opisuje moment aresztowania:

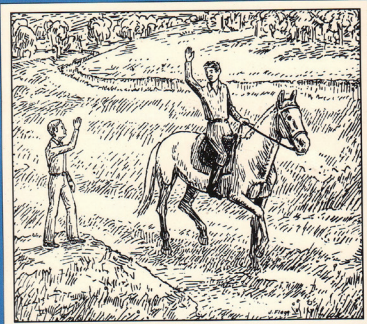
„Do mieszkania weszli enkawudziści w obecności świadków, którymi byli sąsiedzi. Kazali ojcu wstać i ubrać się. Rozpoczęli rewizję, przeszukując wszystkie szafy, komody, łóżka, kanapę, zaglądali pod piec, a w pokojach, gdzie nie palono, do pieców. Tu znaleziono odznaczenia i legitymacje ojca oraz jakieś dokumenty schowane przez ojca lub mamę. Zabrano również dwa albumy naszych zdjęć i liczne zdjęcia luzem. W trakcie rewizji leżałem cały czas w łóżeczku. Nie otwierałem z przerażenia oczu. Udawałem, że śpię. Po sporządzeniu przez enkawudzistę protokołu

rewizji (do dzisiaj przechowała się kopia protokołu, zostawiona przez enkawudzistów mamie) kazano ojcu ubrać płaszcz. Gdy go zabierano, poprosił by pozwolono mu pożegnać się ze mną. Podeszedł do mego łóżeczka, pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło. Byłem tak przeraźliwie przestraszony, że i wtedy nie odważyłem się otworzyć oczu, by pożegnać się z ojcem. Dalej udawałem, że śpię i dopiero gdy go wyprowadzali z kuchni, odważyłem się otworzyć oczy i popatrzeć na niego. Widziałem go wtedy po raz ostatni” [7].

Uwięzionych strzelców przetrzymywano i przesłuchiowano przede wszystkim w Łucku i w Równem. O warunkach w łuckim więzieniu oraz o metodach przesłuchań przez NKWD w książce „Syberyjskie wizje. Pieśń rogu obfitości” przejmująco opowiada Ryszard Łysakowski, wówczas, w marcu 1940 roku, szesnastoletni konspirator, aresztowany pod pretekstem wyniesienia czcionek z łuckiej drukarni Kurii Biskupiej. Zapamiętał naprawdę wiele! Grube mury dawnego klasztoru Brygidek i loskot zamykania więziennej bramy, oddzielającej aresztowanego od całego świata. „Byłem prowadzony jak największy w świecie zbrodniarz” – opowiada. Wędrówka zimnymi, wilgotnymi korytarzami. Zdawanie rzeczy osobistych, które miały nigdy nie wrócić do właściciela. Obcinanie włosów do gołej skóry, a właściwie do krwi, z rowkami i bruzdami, po którym inteligent zyskiwał wizerunek obszarpańca. Wędrówka zimnymi, wilgotnymi korytarzami. Popychanie twarzą do ściany, gdy przechodzą inni więźniowie. Nie wolno spojrzeć w swoją stronę. Mała, mroczna cela, a w niej około 20 aresztowanych. „Cała podłoga była zajęta śpiącymi, wynędzniałymi i wystraszonymi – cóż może jeszcze się wydarzyć? – młodymi mężczyznami...” – pisze

SIBERIAN ODYSSEY

by
Richard Łysakowski



A true story of a young boy who
survived the Siberian labor camps in WW II

autor. Noclegi na wilgotnej, zimnej podłodze, po których boli dosłownie wszystko. Strach. Głód. Pierwsze przesłuchanie po dwóch tygodniach „zmiękczenia” aresztowanego. Krzyki i groźby. Mnóstwo pytań o rodzinę, kolegów, Kościół, organizację. Bezdadne odpowiedzi, byle nie zdradzić nikogo! A później całonocne przesłuchania, w czasie których śledczy zmieniają się co cztery godziny. Niekiedy przesłuchania trwające dwie doby – z przerwą na odbijanie ciała od kości za pomocą tzw. deski. Ból nie do zniesienia. Poddani tej metodzie „po powrocie z przesłuchania z nikim nie rozmawiali, leżeli osamotnieni całymi godzinami, w depresyjnym nastroju, na ogół nieświadomi zupełnie tego, co działo się dookoła nich”. Później karcer po wręby wypełniony ludzkim łajnem, tak że nie można w nim usiąść ani się położyć, aż w końcu z bólu i wyczerpania zaczy-



Tablica epitafijna Jana Marcinkowskiego, sekretarza Sądu Okręgowego w Łucku i Komendanta Oddziału Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek, aresztowanego w Łucku przez NKWD w grudniu 1939 roku. Polski Cmentarz Wojenny w Kijowie-Bykowni, 21 września 2012 roku

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Małgorzaty Ziemskiej z domu Marcinkowskiej

na być wszystko jedno. Wszystko jedno, czy leżysz w czyichś odchodach, czy gryzą cię szczury, czy chodzą po tobie robaki. Konfrontacja ze świadkiem i ten przejmujący strach przed jego – nie swoim bólem. Ponad czterdziestogodzinne połączone z biciem przesłuchanie z udziałem kilku zespołów, składających się z dwóch, trzech śledczych. Siedzenie w trakcie przesłuchań na wąskiej nóżce odwróconego stołka, która pod ciężarem bezwładnego ciała działa niczym pał. Znow bicie i kopanie. Polewanie zimną wodą. Znow karcer. Głód. Pusty pokój. Stanie 20-30 godzin bez jedzenia i picia w jaskrawym świetle żarówki w otoczeniu śledczych, wciąż zadających pytania i żądających błyskawicznych odpowiedzi. Znajomy głos zza uchy-

lonych drzwi – wystarczy się tylko przyznać, by wrócić do kochanych, bliskich osób i dawnego życia. Pusty pokój. Ściana z plamami krwi i śladami kul. Dźwięk odbezpieczonego rewolweru i znow ponaganie, by przyznać się do winy... [8] Pod koniec kwietnia 1940 roku przetrzymywanych w więzieniach zachodniej Ukrainy strzelców pośpiesznie załadowano do wagonów i wywieziono w niewiadomym kierunku. Słuch po nich zaginął..

Wszelkie starania o uzyskanie informacji o losie uwięzionych, podejmowane przez rodziny w czasie wojny i po niej nie przynosiły żadnych rezultatów. To „zadgawkowe milczenie”, ta trudna do pojęcia tajemnica stała się udziałem wielu strzeleckich rodzin – aż do 1994 roku, czyli do



Tablica epitafijna Jana Marcinkowskiego, Komendanta Oddziału Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek, znajdująca się na grobie rodziny Marcinkowskich na cmentarzu w Zielonej Górze

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Małgorzaty Ziemskiej z domu Marcinkowskiej

przekazania przez władze Ukrainy prokuratorowi Stefanowi Śnieżce tzw. wykazów Cwietuchina. Na ukraińskiej liście katyńskiej widniały nazwiska wielu wołyńskich strzelców, między innymi Józefa Kurmanowicza (lista 57/1 poz. 63), Władysława Lei (lista 57/1 poz. 92), Edwarda Herbe (lista 43/3 poz. 9), Stanisława Łukomskiego (lista 66/1 po. 48), Waleriana Wyszynskiego, Komendanta Powiatu Zdołbunów (lista 66/1 poz. 27), Feliksa Urbanowicza, inżyniera mechanika z Państwowych Kamieniołomów Bazaltu w Janowej Dolinie, komendanta miejscowego oddziału strzeleckiego i twórcy sportowej potęgi Janowej Doliny (lista 41/3 poz. 234) oraz mojego dziadka Jana Mar-

cinowskiego, Komendanta Oddziału ZS Łuck-Zamek i członka Zarządu Powiatu Łuck (lista 43/3 poz. 4) [9].

Publikacje, poświęcone „ukraińskiej liście katyńskiej”, uzupełniły kolejną lukę, dotyczącą losów łuckich strzelców. Transport skierowano do Kijowa. Opis kijowskich kazamatów KGB zachował się we wspomnieniach lwowskiej poetki Beaty Obertyńskiej. „*To kolos, ta kijowska tiumra. Podwórza, dziedzińce, korytarze, mury, bramy, sklepienie sienie i znowu dziedzińce, korytarze, podwórza*” – pisała w wydanej w Rzymie w 1946 roku książce „*W domu niewoli*”. Po przyjeździe polski transport cały dzień trzymano pod więziennym murem. W nocy, wywo-



Na cmentarzu w Zielonej Górze grób Olimpii i Tadeusza Marcinkowskich z tablicą epitafijną, poświęconą ppor. Janowi Marcinkowskiemu, Komendantowi Oddziału Z.S. Łuck-Zamek

Zdjęcie z rodzinnego archiwum Małgorzaty Ziemskiej z domu Marcinkowskiej

łanych z nazwiska, zmęczonych, zziębniętych ludzi pędzono przez długie, ciemne korytarze. Nie sposób było się zorientować, gdzie kto jest. Po dwudziestu wpychano więźniów do wilgotnych, ciemnych cel, których betonową posadzkę pokrywały ludzkie odchody. Tłok był tak wielki, że trzeba było stać na jeden nodze. Głód [10]. Ci, wyciągani pojedynczo z cel, już nie wracali. Czy tak wyglądały ostatnie chwile życia wołyńskich strzelców? Mordowano ich strzałem w tył głowy. Zwłoki przewożono do podkijowskiej Bykowni, by pogrzebać je w bezimiennych dołach śmierci...

We wrześniu 2012 roku towarzyszyłam mojemu ojcu Tadeuszowi Marcinkowskiemu w podróży na otwarcie Pol-

skiego Cmentarza Wojennego w Kijowie-Bykowni. Byłam świadkiem jego symbolicznego pożegnania z ukochanym ojcem. Pożegnania po 72 latach daremnych poszukiwań. Byłam świadkiem jego bólu, łez, cierpienia. Widziałam, jak drżącymi ze wzruszenia pomarszczonymi dłońmi czule dotyka położonej na tablicy epitafijnej fotografii. Tego widoku nie zapomnę nigdy! Mój ojciec już nie żyje, teraz jego pamięć, tamten ból i cierpienie są we mnie. Niosę je przez czas, by nie zapomniano...

Małgorzata Ziemska

Przypisy:

[1] Józef Korpała, „Związek Strzelecki w Niepodległej Polsce” [w:] „Zbiór materiałów do próby organizacyjnej Związku Strzeleckiego”, Warszawa 1935, s. 82.

[2] Antoni Gajl-Kot, „Uwagi o pracy Związku Strzeleckiego na Kresach”, „Strzelec” 1922 nr 17, s. 2.

[3] „Zjazd delegatów Okręgu Wołyńskiego”, „Strzelec” 1923 nr 15 z dnia 1 września 1923 r., s. 11.

[4] Sen. Antoni Staniewicz, „Związek Strzelecki na Wołyniu”, „Wołyń” 1933 nr 28, s. 1.

[5] „Strzelcy Wołynia – powodzianom”, „Strzelec” 1934 nr 34, s. 14.

[6] Sławomir Kalbarczyk, „Ukraińska lista katyńska”, Biuletyn IPN 2010 nr 4.

[7] Tadeusz Marcinkowski, „Skarby pamięci”, Zielona Góra 2013, s. 219.

[8] Ryszard Łysakowski, „Syberyjskie wiwje. Pieśń rogu obfitości”, Chicago 1987, s. 35-83.

[9] „Śladem zbrodni katyńskiej”, praca pod red. Zuzanny Gajowniczek, Warszawa 1998, s. 257, 260, 171, 346, 343, 96, 171.

[10] Beata Obertyńska, „W domu niewoli”, Warszawa, 2005.



Карлани - Священники

KS PRAŁAT LUDWIK KAMILEWSKI – TAKIM GO ZAPAMIĘTAŁEM



Ks. Prałat Ludwik Kamilewski w katedrze lwowskiej, 3 maja 2012 roku

Fot. YouTube

Życiorysu księdza prałata Ludwika Kamilewskiego, który bardzo dużo zrobił dla archidiecezji lwowskiej, diecezji łuckiej i kijowsko-żytomierskiej nie będę pisał. Słyszałem o nim wiele razy od przybywających ze Lwowa duchownych i świeckich. Osobiście poznałem go i spotykałem się z nim począwszy od roku 1987, kiedy pierwszy raz przybyłem do Lwowa. Słyszałem od ludzi, że kiedy przybył do Lwowa miał problem w używaniu języka polskiego. Ojciec Rafał długoletni proboszcz katedry, który zabiegał o współpracownika postanowił, że języka nauczą księdza Ludwika parafianie. Brak czasu oraz ogrom pracy duszpasterskiej spowodował, że zaczął pracować i do końca życia słabo mówił po polsku. Wspominał, jak był w woj-

sku – pływał na okręcie podwodnym – jak raz dowódca wiedząc, że jest Polakiem, zapytał, czy ty mówisz po polsku? Wtedy odpowiedział, że mie nie nauczyli, to usłyszał odpowiedź, jaki ty Polak, jak nie mówisz po polsku. Opowiadał, że to go trochę zawstydziło i postanowił nauczyć się języka ojczystego. Posługując duszpasterstwo wśród Polaków we Lwowie miał możliwość nauczania się języka „ze słyszenia”.

W sierpniu 1987 przybyłem pierwszy raz do Lwowa na zaproszenie prywatnej pani Marii Pajuk z Sichowa, jako krewny. Po przybyciu do zakrystii spotkałem się z proboszczem franciszkaninem ojcem Rafałem, który powiedział mi, że wszelką pomoc mam otrzymać od księdza ks. Kamilewskiego. Zamieszkałem u ks.

Ludwika na ul. Tatarbunarskiej, gdzie zostawiłem swój samochód „maluszka” tzn. Fiata 126 p i zacząłem zwiedzać miasto przy jego pomocy. Msze świętą odprawiałem w katedrze za zamkniętymi drzwiami z kluczem w zamku w kaplicy św. Józefa. Następnie jechaliśmy jego „Wołgą” do Stanisławowa, Szczerca, Mościsca, Krzemieńca oraz oczywiście do tajnego biskupa ks. Jana Cieńskiego do Złoczowa. Nie będę opisywał tych wspaniałych wizyt, obserwowałem wszystko dokładnie i potem przekazałem swojemu biskupowi Marianowi Jaworskiemu w Lubaczowie, a on dalej do Watykanu. Ks. Ludwik zorganizował mi też wyjazd pociągami do Kijowa i Winnicy, aby poznać tam naszych wiernych. Gdy tam byłem kilka dni to NKWD pytało go, gdzie jest ten ksiądz z Polski? Odpowiedź była krótka: gdzieś tu chodzi bo jego maszyna stoi u mnie na podwórzu, co było widać, ma tu dużo krewnych to wraca późno. Gdy wróciłem z podróży opowiedział, jaki jestem ważny, bo kilka razy już pytali, gdzie twój gość. Słynne powiedzenie jego to słowa „a widzi?” wypowiedział wtedy po moim powrocie. Pomyślałem sobie jak ci nasi dzielni księża są obserwowani a służby bezpieczeństwa ile muszą mieć donosicieli i szpiegów?

Od jesieni 1989 roku zaczął przyjeżdżać do Lwowa biskup Marian Jaworski, który był administratorem apostolskim archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie. Wtedy ks. Kamilewski zajmował się organizacją całej wizyty na terenie obwodu lwowskiego a w porozumieniu z nim na terenie obwodu tarnopolskiego zajmował się ks. Markijan (Marek) Trofimiak. Na zakończenie pierwszej wizyty duszpasterskiej wszyscy kapłani zebrani w katedrze prosili, by bp Jaworski pozostał z nimi, bo brakuje im ojca. Modlili się w kanonie Mszy św. za biskupa Maria-

na, co wywoływało złość władz komunistycznych. Biskup Jaworski odprawił pożegnalną Mszę św. w katedrze 11 listopada 1989 roku, wtedy ojciec Rafał z ks. Ludwikiem podarowali mu złoty krzyż biskupi z napisem „*arcybiskupowi Marianowi, Lwów katedra 11.XI. 1989 r.*” Kardynał Jaworski, gdy obchodził 80 lecie urodzin przekazał ten krzyż dla obrazu Matki Boskiej Łaskawej w katedrze lwowskiej. Krzyż biskupi zamówił dla bpa Jaworskiego ks. Ludwik natomiast o. Rafał, jak zwykle za niego zapłacił. Krzyż ten wykonał z złotego i białego złota lwowski złotnik pan. Jerzy Wilczyński. Jako pamiątkę naszych odwiedzin za kolejnym razem otrzymałem od ks. Kamilewskiego i mam do dzisiaj na swojej szyji złoty medalik Matki Boskiej Częstochowskiej też wykonany we Lwowie.

Biskup Jaworski przyjeżdżając do Lwowa początkowo mieszkał na ul. Snopkowskiej 12 u pań Ireny Pelczarskiej, Marii Skierskiej i Janiny Sosabowskiej. Po pewnym czasie ks. Ludwik postanowił, że na czas przyjazdu ks. biskupa odstępuje swoje mieszkanie na ul. Tatarbunarskiej 10, gdzie były lepsze warunki. Po paru latach ojciec Rafał Kiernicki otrzymał od pani Kamili Barańskiej dom na ul. Kwitki Osnowianenka 12 i przekazał część dla sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi a drugą dla sióstr Honoratek. W części należącej do sióstr marianek mieszkał do roku 1995 arcybiskup Jaworski. Wtedy kupił dom na ul. Samczuka 14 A koło Parku Stryjskiego. Ks. Ludwik umiał łatwo nawiązywać kontakty z wszystkimi ludźmi. Miał jedną wadę lubił się spóźniać, co przy punktualności ojca Rafała nie dało się niezauważyć. Nie robił tego ze złej woli, tylko miał taki sposób życia. Wiele razy, jako kanclerz zwracałem mu uwagę, to uśmiechał się i odpowiadał swoim powiedzeniem „a widzi?”.

W czasie tzw. pierestrojki Gorbaczowa wierni na czele z ks. Ludwikiem zaczęli walczyć o zwrot naszych poniszczonych świątyń. Księża pracujący w katedrze podzieliли się zadaniami ojciec Rafał, dawał pieniądze a remontami zajmował się ks. Ludwik, który do pracy brał młodzież. Prace przy remoncie wykonywała młodzież katedralna, chorażanki, ministranci, których zabierał zamówionym autobusem zawoził do danej miejscowości oni czyścili, malowali, wstawiali okna, remontowali to co najważniejsze. Następnie przyjeżdżał o. Rafał i święcił a później biskup i arcybiskup Jaworski. Trzeba wiedzieć, w jaki sposób ks. Kamilewski odbierał świątynie? Jechał do wioski, spotykał siedzące starsze babcie i pytał jakie są ich imiona? Kiedy imiona były czyste polskie, to mówił, że wy jesteście Polki i musicie napisać do władz prośbę o oddanie kościoła. Jak brakowało wiernych Polek, a trzeba wiedzieć, że wtedy potrzebowano podpisu 20 osób, wybierał imiona Ukrainek, które mogą być polskie i ukraińskie a te chętnie podpisywały. Dzięki temu mamy oddane nasze stare świątynie, które zniszyli bolszewicy.

Czasami wydawało się, że ks. Kamilewski niektóre kościoły odbiera wbrew logice, gdyż tam nie było Polaków rzymskokatolików. Na spotkaniach księży wobec arcybiskupa, czy biskupa Rafała niektórzy kapłani wprost atakowali ks. Ludwika, dlaczego zabiera natępne świątynie tak zdewastowane? Jego odpowiedź była przekonująca. Teraz jeszcze upadająca władza sowiecka oddaje nam świątynie, a jak przyjdą do władzy ukraińscy nacjonaliści, to nic nam nie oddadzą. Argumenty ks. Ludwika podtrzymywał abp Jaworski a po paru latach okazało się, że obaj mieli rację. Natomiast te świątynie zostały wyremontowane a dzisiaj są pełne wiernych różnych narodowości. Podobnie

było, jak w 1991 r. ks. Kamilewski przeszedł pracować do diecezji łuckiej.

Będąc duszpasterzem we Lwowie u boku wielkiego ojca Rafała Kiernickiego OFM Conv. ks. Ludwik opierał się na młodzieży, która mu wiele pomagała. Za nagrodę organizował spotkania dla młodzieży katedralnej w swoim domu na Tartarunarskiej z okazji świąt, czy urodzin. W czasie wakacji wybierał się na wspólne wyjazdy z tą młodzieżą w góry na odpoczynek, była to nagroda za całoletnią pomoc Kościołowi. Dawał też pieniądze na bilety do kina, z czego ministranci i młodzież żeńska chętnie korzystała. Integrowało to naszą katolicką młodzież i umacniało w wierze, a niektórzy z nich zawarli katolickie małżeństwo.

Wiadomo, że w seminarium duchownym w Rydze, gdzie studiowali klerycy z całego Związku Radzieckiego, oprócz Litwinów, studiował też ks. Ludwik pochodzący z Burtyna koło Połonnego w obwodzie Chmielnickim. Na tym samym kursie był ks. Markijan Trofimiak, pochodzący z Kozowej w obwodzie tarnopolskim. Jakimś czynem krążą legendy, że ks. Ludwik pomagał w nauce ks. Markijanowi. Prawda jest taka, że pomoc od bpa Trofimiaka otrzymywał ks. Ludwik. Po wykładach głoszonych po łacinie, lub polsku siadali razem i Markijan jeszcze raz mu to powoli tłumaczył, gdyż jak wiemy Ludwik słabo rozumiał po polsku. Ta znajomość przetrwała do końca życia, a Opatrzność Boża wiele razy postawiła ich na jednej drodze służby kapłańskiej.

Kiedy przyszedł 1991 r. Jan Paweł II wznowił działalność hierarchi rzymskokatolickiej w Ukrainie i mianował biskupów dla Lwowa, Kamieńca Podolskiego i Żytomierza. We Lwowie metropolitą został arcybiskup Marian Jaworski a biskupami pomocniczymi o. Rafał Kiernicki OFM Conv. oraz kolega ks. Ludwika

ks. Markijan Trofimiak zwany księdzem Markiem. Wtedy jak głosili plotkarze „*ks. Ludwik uciekł ze Lwowa do Łucka*” Biedacy ci nie rozumieli, że abp Jaworski do roku 1998 był też administratorem apostołskim diecezji łuckiej. Ks. Kamilewski będąc trochę samotnikiem w pracy dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że we Lwowie jest arcybiskup dwaj biskupi pomocniczy oraz to, że prawie wszystkie świątynie są odebrane. Przychodzili nowi księża z Polski, którzy przejmowali następne odebrane przez niego kościoły, postanowił pomóc biskupowi w Łucku.

Praca w Łucku nie była na początku łatwa, ale dla ks. Ludwika to nie miało to znaczenia. Lubił zawsze trudne wyzwania, dlatego i tam na Wołyniu odbierał kolejne zdewastowane świątynie. Kiedy w 1998 roku został mianowany dla Łucka bp Markijan Trofimiak, to trzeba było dokończyć remonty kościołów i budować plebanie dla duchownych. Nowy biskup dawał sobie z tym dobrze radę i zaczęły się plotki, wywołane, jak zwykle przez naszych kochanych duchownych. Posługując w Łucku ks. Kamilewski został odznaczony przez ojca świętego Jana Pawła II godnością Kapelana Honorowego Jego Świątobliwości. Prałatura bo tak nazywamy ten pierwszy stopień papieskiego odznaczenia była traktowana przez Kościół, jako nagroda ziemską za oddaną pracę w archidiecezji lwowskiej i diecezji łuckiej.

Ks. Ludwik, bo tak go wszyscy nazywali postanowił udać się do diecezji kijowsko-żytomierskiej, aby tam pomagać duszpastersko. Początkowo był duszpasterzem w katedrze w Żytomierzu, posługując wiernym oraz szukając jeszcze nie oddanych kościołów. Pracował do końca w Żytomierzu, gdzie na obrzeżu miasta przy obwodnicy znalazł zniszczony kościół św. Wacława na Kroszni, w którym bolszewicy urządzili zakład masar-

ski „*kowbasozawod*”. Niektórzy miejscowi księża, nie znający zalet ks. Ludwika, pytali co on robi?, kto będzie tam chodził?, skoro daleko od centrum i brak ludzi. Kiedy po paru latach odwiedziłem go na Kroszni i zobaczyłem ile jest wiernych, świątynia odnowiona, pomaga wikariusz, dojeżdżają siostry pallotynki z centrum na katechezę. Teren wokół świątyni zadbany, wierni się cieszą swoim proboszczem, a on mi mówi jak zawsze „*a widzi*”. Dzisiaj, gdy duszpasterzuje tam ks. kanonik Wiktor Makowski widzimy, jak był potrzebny ks. prałat Kamilewski w tamtych czasach, gdy odbierał tę świątynię.

Dobrze pamiętam dzień Jubileuszu 70 lecia urodzin księdza prałata Ludwika Kamilewskiego w roku 2016 w parafii św. Wacława w Żytomierzu na Kroszni. Przybyli biskupi, którzy z nim współpracowali Stanisław Szyrokoradiuk OFM z Charkowa-Zaporoża oraz Witalij Skomarowski z Łucka. Liczna obecność wiernych z Żytomierza, Łucka oraz duża delegacja dawnej młodzieży ze Lwowa potwierdziła opinię mówiącą jak wielką wdzięczność okazują mu wierni świeccy, za pracę duszpasterską, którą wykonywał dla nich w ciągu swego posługiwania duszpasterskiego. Były propozycje o mianowanie ks. prałata tytułem protonotariusza apostolskiego, czyli infułata, ale różne okoliczności nie zdążyły z tym. Zmienili się biskupi we Lwowie, dwa razy w Kijowie, a w końcu papież Franciszek zniósł ten tytuł w Kościele Powszechnym. Taka jest tego długa historia ale ciekawa i interesująca, a dalsze plotki zostawmy innym, którzy jak zwykle nic nie wiedzą i nie rozumieją a próbują autorytatywnie mówić.

Ks. prałat Kamilewski zadbał na Kroszni o świątynię, jedynie nie zdążył przygotować godnego mieszkania dla siebie oraz księży, którzy po nim przyjdą. Ni-



**Ks. Prałat Ludwik Kamilewski
na spotkaniu poświęconym
bł. ks. Władysławowi Bukowińskiemu,
Żytomierz, 8 października 2016 roku**

Fot. Archiwum

gdy nie dbał o siebie, tylko o wiernych, by mieli świątynię. Gdy zorientował się, że zdrowie jest za słabe, postanowił zrezygnować z pracy na stanowisku proboszcza. Obecny biskup kijowsko-żytomierski Witalij Krywicki SDB, podziękował za gorliwą i sumienną pracę oraz zaproponował zamieszkać w charakterze rezydenta w Berdyczowie w parafii św. Barbary. Ks. Ludwik wolał jednak wrócić do Łucka, z którym był przez wiele lat związany. Nie nacieszył się tam, długo gdyż jak mówimy za szybko zmarł. Mówiłem mu, że ty umrzesz na chodząco, bo widzę że wcale nie dbasz o swoje zdrowie, to on często mi odpowiadał „a widzi”. Tak stało się po jego myśli, gdyż pracował dla spraw niebieskich a nie ziemskich.

Przez wiele lat cierpiał tak, jak biskup Rafał na otwarte rany na nogach, nigdy nie miał czasu na leczenie. Wie-

le razy mówiłem, aby trochę podleczył się, miał też mocną cukrzycę, co widziało się jak momentalnie zasypiał. Można powiedzieć, że obaj z biskupem Rafałem z którym 17 lat pracował we Lwowie, zapatrzyli się w jego oddanie ludowi i zapomnieniu o sobie.

Warto wspominać dla historii Kościoła Metropolii Lwowskiego takich kapłanów, jak ks. prałat Ludwik Kamilewski. Obowiązkiem naszego pokolenia, które pamięta jeszcze ich działalność duszpasterską należy pisać, nagrywać wspomnienia audio i wideo, bo pamięć ludzka jest zawodna. Duszpasterze heroiczni i bohaterscy pracowali na naszych terenach, zachowali wiarę, mimo prześladowań ateistów. Bóg zapłać za ich posługę w tym ks. Ludwikowi.

† *Marian Buczek*
senior diecezji charkowsko-zaporoskiej

Lwów, dnia 11 czerwca 2019 roku, we wspomnienie św. Barnaby Apostoła.

Pierwodruk: „*Res Cresoviana*” nr 2 / 2019, Instytut Pamięci i Dziedzictwa Kresowego, Lublin 2020, s. 251-256.



История - Історія

SZLACHTA POLSKA W UKRAIŃNYCH WOJEWÓDZTWACH

W przeddzień powstania Chmielnickiego, Ukraina zdominowana była przez polskich i ruskich magnatów i wypełniona tłumem ich dzierżawców. Żywiół polski był obecny na kresach ekonomicznie, politycznie oraz fizycznie.

Temat szlachty polskiej żyjącej na ukraińskich województwach dawnej Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVI i pierwszej połowie XVII wieku, zogniskować można wokół dwóch podstawowych zagadnień jej dotyczących. Pierwszym z nich jest „*ekspansja na Wschodzie*” – głównie o charakterze ekonomicznym – teje szlachty, drugim zaś, nieco na przekór określeniu zawartemu w tytule niniejszego szkicu, jej świadomość narodowa. W części pierwszej niniejszego szkicu, skupimy się więc na zarysowaniu spraw związanych z zagadnieniami dotyczącymi ekonomii, pozostawiając skomplikowane kwestie, również teoretyczne, odnośnie świadomości narodowej teje szlachty do drugiej części szkicu.

Fundamentem, na którym można przedstawiać Czytelnikom wyżej wymienione zagadnienia, jest jednak określenie terytorium, na którym odbywały się wskazane procesy.

Tak więc, kiedy do terenów Ukrainy (często prezentowanej współcześnie w znaczeniu politycznym) zamieszkałej przez Rusinów (Ukraińców) zalicza się dziś w historiografii ukraińskiej oraz (rzadziej) polskiej, Kijowszczyznę, Braclawszczyznę, Czernihowszczyznę, Wołyń, Podole, a niekiedy także Ruś Czerwoną, to w XVI wieku pod czysto geograficznym

STANISŁAW MICHAŁ KRZYCZEWSKI

Z DZIEJÓW WALKI SZLACHTY UKRAIŃSKIEJ
W SZEREGACH POWSTAŃCZYCH
POD WODZĄ BOHDANA CHMIELNICKIEGO



WACŁAW LIPIŃSKI

pojęciem Ukrainy rozumiano kraj położony nad Dnieprem, obejmujący dwa województwa Rzeczypospolitej: kijowskie i braclawskie, do którego dołączono utworzone w 1619 roku, województwo czernihowskie [1].

Włączenie w 1569 roku w skład Korony terenów Wołynia i Ukrainy spowodowało przyływ na te tereny szlachty polskiej, skuszonyj perspektywą kolonizacji Kresów. Badacz tego zagadnienia Henryk Litwin do grupy szlachty polskiej przybywającej w latach 1569-1648 na ówczesne Kresy Rzeczypospolitej, zalicza aprowasławnych przedstawicieli rodów szlache-

kich pochodzenia polskiego, spolonizowaną szlachtę pochodzenia obcego, a także cudzoziemców mających indygenat polski oraz przedstawicieli rodów ruskich, zamieszkałych w Koronie przed 1569 rokiem, अपrawosławnych w momencie pojawienia się ich na Wołyniu lub Ukrainie [2]. Jednakowoż, musimy pamiętać także o polonizacji kulturowej szlachty ruskiej zamieszkującej te tereny przed ich włączeniem do Korony w 1569 rokiem.

Zjawisko to było bardzo silne, następowało pod wpływem różnych czynników i motywacji kierujących ludźmi, zwiększało jednak stan „*polskiego posiadania na Wschodzie*”, zarówno pod względem kulturowym jak i ekonomicznym [3]. Własność ziemską na Kresach, jaką pozyskiwała szlachta polska ujęta w wyżej wzmiankowanej przez Henryka Litwina kategorii, składała się z dóbr dziedzicznych oraz królewszczyzn (czyli nominalnej własności królewskiej) dzierzonych przez przedstawicieli poszczególnych rodów szlacheckich w ramach zastawu, dzierżawy lub nadania starostwa. To ostatnie wiąże się także z szerszym zagadnieniem, dotyczącym urzędów funkcjonujących na terenie województw braclawskiego i kijowskiego (później także czernihowskiego) sprawowanych przez polską szlachtę. Generalnie, podstawę prawną do nabywania dóbr prywatnych na inkorporowanych terenach Ukrainy, stanowił II Statut Litewski, dopuszczający do dziedziczenia dzieci, wnuki oraz dalszych krewnych właściciela. Dobra prywatne uzyskiwane były w dwojaki sposób: albo były to dobra nabyte np. drogą kupna lub też były to tzw. „*wysługi*” stanowiące rodzaj nadania królewskiego (hospodarskiego). Sposoby te dotyczyły, w pierwszym rzędzie najbogatszej części szlachty.

Dalsze akty prawne dotyczące dóbr prywatnych to tzw. III Statut Litewski z

1588 roku oraz konstytucja sejmowa „*O rozdawnictwie pustyni...*” z 1590 roku. Ważnym wydarzeniem dotyczącym tego zagadnienia było zlikwidowanie trybunału w Łucku i akces szlachty z województw ukraińskich do instytucji apelacyjnej właściwej dla małopolskiej prowincji Korony, czyli do Trybunału Lubelskiego. Spowodowało to wzrost oddziaływania prawa koronnego na normy obowiązujące w sądownictwie ziem ukraińskich [4]. Na terenach, o których mowa, przemyślana i planowana akcja kolonizacyjna rozwinęła się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XVI wieku. Rozpoczęły ją kniazio-wołyńscy, organizujący przedsięwzięcia osadnicze, które wymagały zasadźców lub dzierżawców dóbr rekrutujących się ze szlachty koronnej, a którzy mogliby je zagospodarować. Akcja ta miała, w pewnym sensie, charakter migracji zarobkowej. Następne próby „*osadzania*” osób zasłużonych wojskowo (Polaków) podejmowali również królowie jak np. Stefan Batory czy Zygmunt III, jednakże próby te nie przynosiły trwałego rezultatu ze względu na mały potencjał ekonomiczny tychże osadników, uniemożliwiający „*pracę osadniczą*”.

Jak stwierdza badacz tego zagadnienia „*do końca XVI wieku, ruch z Korony ku kresom był bardzo ograniczony, a wśród polskich możnowładców ekspansja na Ukrainę była mało popularna*” [5]. Zmianę tego stanu rzeczy przyniósł dopiero wiek XVII.

Polityka prowadzona przez Zygmunta III, polegająca na rozdawnictwie dóbr przedstawicielom magnaterii polskiej (ruskiej zresztą też), w połączeniu z dostrzeżeniem potencjału ekonomicznego tkwiącego w tych terenach oraz sukcesami kolonizacyjnymi już osiągniętymi, spowodowała wzrost zainteresowania tym kierunkiem ekspansji polskiej szlachty. Także związki rodzinne powodowały, że polska szlachta wchodziła w posiadanie wła-

sności ziemskiej na tych terenach, np. drogą dziedziczenia lub spadkobrania. Kolonizacja wymagała sporych nakładów finansowych dlatego też, właściciele dziedziczeni oddawali część swych majątków w zastaw lub dzierżawę np. zasadzcy przybyłemu zachodnich części Korony. Doprowadziło to do wytworzenia się swoistej kategorii „przedsiębiorców” zajmujących się dzierżawieniem majątków na Ukrainie. W trzeciej i czwartej dekadzie XVII wieku rosła pozycja polskiej magnaterii na Braclawszczyźnie. Pojawiały się kolejne rody polskie na Kijowszczyźnie. Jeśli chodzi o średnią i drobną szlachtę posesjonacką rodem z Korony, to stanowiła ona 10% społeczności kresowych właścicieli ziemskich (dane dla Braclawszczyzny). Liczba nominacji na urzędy ziemskie dla Polaków sięgała w tym czasie liczby 35% (dane dla Braclawszczyzny). Rozwój osadnictwa kresowego doprowadził do rozwoju królewszczyzn, które stały się ostoją żywiołu polskiego na tamtym terenie. Na Kijowszczyźnie liczba kresowych właścicieli ziemskich pochodzenia polskiego sięgała 13% (dane dla 1648 roku). W latach 1638-1648 liczba dzierżawców, wśród których dominowali Polacy, sięgnęła blisko 30% dóbr prywatnych. Podsumowując niniejsze rozważania, wypada zgodzić się z badaczem tego zagadnienia, który stwierdza, że „w przeddzień powstania Chmielnickiego, Ukraina zdominowana była przez polskich i ruskich magnatów i wypełniona tłumem ich dzierżawców. Żywioł polski był obecny na kresach ekonomicznie, politycznie oraz fizycznie. Polacy odgrywali istotną rolę w najwyższych i najniższych szczeblach kresowej szlacheckiej drabiny społecznej. Sens społeczny napływu Koroniarzy... sprowadzał się do ekonomicznej ekspansji magnaterii, zrastania się średniej i drobnej polskiej szlachty z ruską i migracji zarobkowej nieposesjonatów” [6].

Ekspansja gospodarcza szlachty polskiej na tereny kresowe, oprócz tego, że jest jednym z ciekawszych zagadnień badawczych dla historyków dziejów Rzeczypospolitej w epoce nowożytnej, jest ona także niestety, tzw. „trudnym tematem”, gdyż często bywa „dopasowywana” przez różne nurty w historiografii zarówno polskiej jak i ukraińskiej, do schematu „zobyczy pługa polskiego” i „polskiej okupacji Ukrainy”. Miejmy nadzieję, że w dalszych, jak najbardziej potrzebnych badaniach nad tym zagadnieniem, więcej będzie rzetelnej naukowej pracy badawczej niż „polityki historycznej”.

Koniec części pierwszej.

Jacek Drozd

Lublin, 22 stycznia 2012 r.

[1] Teresa Chynczewska-Hennel, „Świadomość narodowa szlachty ukraińskiej i Kozaczyzny od schyłku XVI do połowy XVII wieku”, Warszawa 1985.

[2] Henryk Litwin, „Napływ szlachty polskiej na Ukrainę 1569-1648”, Warszawa 2000.

[3] Zjawisko to znajdzie szersze omówienie w drugiej części niniejszego szkicu poświęconej świadomości narodowej szlachty zamieszkującej na interesujących nas tutaj terenach.

[4] Ibidem, s. 19-21.

[5] Ibidem, s. 160.

[6] Ibidem, s. 162.

Pierwodruk: „Najwyższy Czas” nr 10 (1137) z 3 marca 2012 r., s. XXXVI-XXXVII.

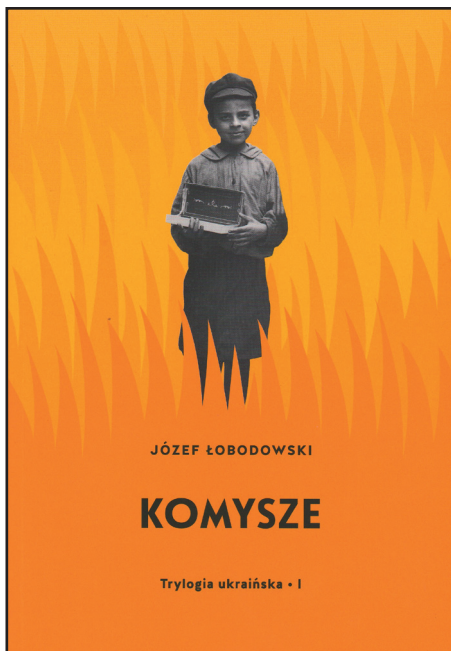


Wśród książek - Серед книжок

TRYLOGIA UKRAIŃSKA JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO



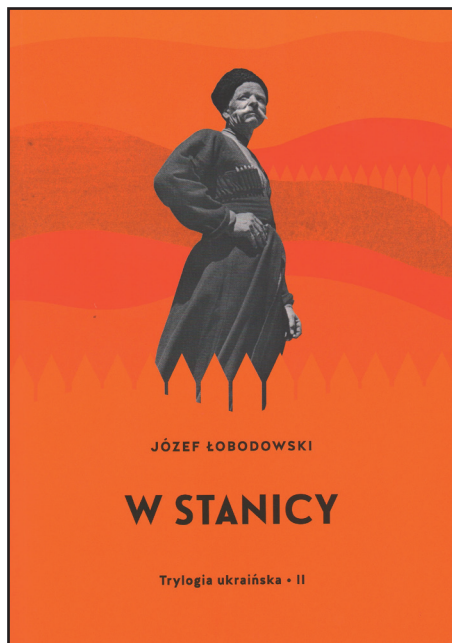
Chciałoby się złożyć ręce i powiedzieć: Boże mój, jak to możliwe, że trójksiąg Józefa Łobodowskiego – „Komysze”, „W stanicach”, „Droga powrotna” – nie był znany w Polsce... Wydane poprzednio tylko raz, w londyńskim Gryfie w latach 1955-1960. Po Czarnyszewicza „Nadbereźniach” to najważniejszy – jestem tego pewien – powrót do Polski wielkiej literatury emigracyjnej. Niski pokłon dla Bernarda Nowaka i jego lubelskiego wydawnictwa Test za tę piękną edycję. Józef Łobodowski (1909-1988) jest dziś w Polsce praktycznie zapomniany – z wielką szkodą dla polskiej kultury. Ten wybitny poeta, prozaik, tłumacz, kultuwający w literaturze tradycje romantyczne spędził dzieciństwo w Lublinie, a w momencie wybuchu I wojny światowej wyjechał z rodzicami do Moskwy, a następnie do Jejska na południu Rosji. W 1922 roku w ramach repatriacji wrócił do Polski i ponownie zamieszkał w Lublinie. Jego książki kilkakrotnie podlegały konfiskacie, jak choćby debiutancki tomik „O czerwonej krwi”, skonfiskowany przez lubelską cen-



zurę w 1932 roku. We wrześniu 1939 roku wziął udział w kampanii wrześniowej, 19 września wraz z brygadą gen. Maczka wycofał się na Węgry. Stamtąd, po kilku ucieczkach z węgierskich obozów internowania, przedostał się do Francji, gdzie został aresztowany. W 1941 roku wyjechał do Hiszpanii, gdzie spędził resztę życia. Znany z ostrych antykomunistycznych wystąpień, był jednym z współzałożycieli Sekcji Polskiej Radia Madryt. W pierwszej części swojej prozatorskiej trylogii – „Komyszech” – poznajemy głównego bohatera, Stasia Majewskiego, dwunastoletniego Polaka, żyjącego z rodzicami i dwie-

ma starszymi siostrami w mieście Jejsk w Kraju Krasnojarskim nad Morzem Azowskim. Ojciec, pułkownik armii carskiej, a później oddziałów jednego z białych generałów, po wkroczeniu do miasta bolszewików ocaleje wyłącznie dzięki... wcześniejszemu uratowaniu życia jednemu z przywódców powstania czerwonych. Cała rodzina żyje w ciągłym zagrożeniu: rewizje, terror, prześladowania. Utrzymują się wyłącznie dzięki domowej produkcji papierosów, którymi przedwcześnie dojrzały Staś handluje gdzie się da. Jest sprytniejszy od innych chłopców, zarabia więc też lepiej od innych. Ma oddanego, trochę starszego przyjaciela, Ormianina Griszę Aszwajanca, brata krwi, trochę już bandytę, a po jakimś czasie także „narzeczoną” Szurę. Ulice wypełnione są takimi ni to dziećmi, ni to dorosłymi, gotowymi na kradzież, czasami zabójstwo, prostytutkę. W małym stopniu dotyczy to młodego Polaka, wychowanego w tradycyjnej, katolickiej rodzinie. Ale i on, siłą rzeczy, coraz głębiej wchodzi w ten świat, w którym bieda i brak jakichkolwiek norm moralnych decydują o postępowaniu ludzi.

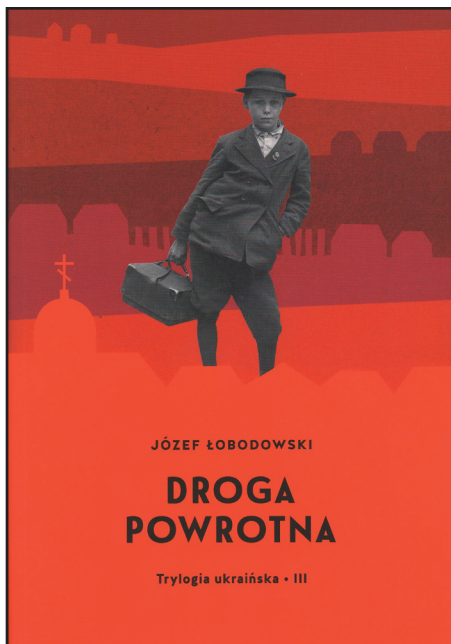
Nadzieją na zmianę życia jest ucieczka rodziny przed władzą bolszewików. Pułkownik znajduje kontakt z przemytnikami, którzy za duże pieniądze gotowi są Majewskich i drugą polską rodzinę wywieźć z ogarniętego wojną kraju. Takie przynajmniej są deklaracje. Ale przemytnicy to tak naprawdę bandyci. Cała sprawa, dzięki kontaktom chłopca, wychodzi na jaw. Sytuacja staje się prawie bez wyjścia. Ratunkiem wydaje się opuszczenie Jejska przez rodzinę i ukrycie się w odległych o kilkadziesiąt kilometrów komyszach. „Komysz”, po turecku „kamysz”, oznacza trzcinę, sitowie, i właśnie bagna, trudno dostępne wyspy są miejscem, gdzie powstaje „republika”, w której nie rządzą ani czerwoni, ani biali, a organizacją życia zajmuje się Czar-



ny Jegorka – bandyta, nie bojący się niko- go. Tam na dobre Staś wiąże się z Szurą, tam budują lepiankę, tam mają nadzieję sprowadzić rodzinę.

Marzenia o przetrwaniu przerywa najeżdż zielonych – zbuntowanych chłopów, którzy walczą ze wszystkimi. Chłopiec, ranny, bliski śmierci, zostaje w szuwarach.

„W stancy” Łobodowski prezentuje dalszą część przygód Stasia Majewskiego. Ranny, cudem uratowany przez Szurę i Griszę, za zgodą ojca łąduje w kozackiej stancy. Kubańscy Kozacy to naród dumny, ze swoimi obrzędami, tradycjami, umiłowaniem wolności. Wśród nich młody Polak spędzi kolejne półtora roku. A Łobodowski, koncentrując wokół niego narrację, pokazuje zupełnie niepowtarzalny obraz życia w mało znanej społeczności. Ale jest to też obraz Rosji początku lat 20., zbiorowego powstania Kozaków przeciw bezwzględnej, okrutnej władzy bolszewi-



ków. Wojny bez pardonu, na wyniszczenie, bez brania jeńców. To także opis dojrzewania chłopca, dotykania erotyzmu, wchodzenia w życie, w którym łamane są utrwalone przez lata obyczaje i zasady.

W trzecim tomie cyklu, „Droga powrotna”, los obchodzi się ze Stasiem jeszcze okrutniej – najpierw umiera ojciec, a potem chłopiec spóźnia się na odpływający statek, którym Polacy, także matka i siostra, ewakuują się do wolnej już ojczyzny. Łąduje w „dietydomie”, sierocińcu, w którym „bezprizorni” są maltretowani i bici przez „wychowawców”, dziewczynki gwałcone. Jednocześnie tworzą się między dziećmi więzy szczególnego rodzaju, oparte na przyjaźni, specyficznym, trochę bandyckim poczuciu honoru, miłości, oddaniu. I znów, jak wcześniej, to Grisha Aszwajanc, dobry duch, opiekun Majewskiego, wyzwala go z koszmaru, daje szansę, pewnie niewielką, na powrót do wyśniewanej Polski. Ale to tam też, w morzu rewolucyjnego ze-

zwierżenia, odczłowieczenia znajdujemy przejmujące obrazy ginącej rosyjskiej inteligencji (lekarz opiekujący się umierającą Szurą).

Łobodowski zbudował niepowtarzalny obraz Rosji początku lat 20. (w tle brzmia gdzieś echa wojny polsko-bolszewickiej) z nieustającymi buntami, walkami wszystkich ze wszystkimi, okrucieństwem wcześniej zupełnie nieznanym, z niewyobrażalną nędzą, łamaniem wszystkich, wydawałoby się trwałych, ustalonych raz na zawsze kanonów życia. W tyglu narodowości, rozbieżnych interesów, poza centrum wielkiej Rosji, można znaleźć szamoczących się, próbujących się wyrwać z tego Armagedonu do powstającej ojczyzny Polaków, zakorzenionych, ale jednak pielęgnujących swą odrębność, chyba nawet jakieś poczucie wyższości.

Nie ma w pisaniu Łobodowskiego nienawiści; jest autentyzm, który może budzić zdumienie – w opisie obyczajów dnia codziennego, a przede wszystkim w polszczyźnie, której już nie ma. Pięknej, kresowej, z oryginalnym słownictwem, odbijającej jasnym światłem wieki minione, z tradycją, obyczajem zupełnie zapomnianym. Wielka literatura, którą czym prędzej trzeba koniecznie i natychmiast przywrócić Polsce i Polakom.

Wacław Holewiński

Źródło:

<https://instytutksiazki.pl/aktualnosci,2,ksiazka-tygodnia-komyszew-stanicy-droga-powrotna-jozefa-lobodowskiego,1039.html>



Dziedzictwo - Спадщина

SYTUACJA KOŚCIOŁA RZYMSKO-KATOLICKIEGO NA DAWNYCH ZIEMIACH RZECZPOSPOLITEJ I UKRAINIE PO 1946 ROKU

W 1946 roku po tzw. repatriacji i wywozach do łagrów sowieckich ludność polska wyznania rzymsko-katolickiego we Lwowie i na południowo-wschodnich terenach Rzeczypospolitej pozostała w ogromnej mniejszości.

We Lwowie po 1946 r. pozostały czynne cztery kościoły (do 1946 r. było ich 36) i pracujący w nich księża: w katedrze – ks. Karol Jastrzębski i ks. Stanisław Płoszyński u św. Antoniego – ks. Hieronim Kwiatkowski; w kościele Panny Maryi Śnieżnej – ks. Jan Piwiński, a u św. Marii Magdaleny – ks. Zygmunt Truszkowski.

W 1948 r. wrócił z łagru w Riazaniu o. Rafał Władysław Kiernicki OFM i rozpoczął pracę w katedrze.

W 1949 r. zmarł ks. St. Płoszyński.

Ponieważ nie wolno było nauczać religii w kościele, nauka i przygotowanie dzieci do pierwszej Komunii św. odbywało się w domach prywatnych, co w pewnych okresach było połączone z niebezpieczeństwem utraty wolności dla tego, kto uczył, dzieciom zaś i rodzicom groziły szykany w szkole i w miejscu pracy, a nawet wyrzucenie z pracy. Parafie lwowskie i obwodu lwowskiego w Szczercu, Mościskach, Złoczowie i Pomorzanach, które także jeszcze w tym czasie były czynne, prowadziły akcję charytatywną na rzecz ludzi starych, samotnych, chorych, a także finansowa-

SYTUACJA KOŚCIOŁA RZYMSKO-KATOLICKIEGO NA DAWNYCH ZIEMIACH RZECZPOSPOLITEJ I NA UKRAINIE PO 1946 ROKU



W 1946 roku po tzw. repatriacji i wywozach do łagrów sowieckich ludność polska wyznania rzymsko-katolickiego we Lwowie i na południowo-wschodnich terenach Rzeczypospolitej pozostała w ogromnej mniejszości.

We Lwowie po 1946 r. pozostały czynne cztery kościoły (do 1946 r. było ich 36) i pracujący w nich księża: w katedrze – ks. Karol Jastrzębski i ks. Stanisław Płoszyński u św. Antoniego – ks. Hieronim Kwiatkowski; w kościele Panny Maryi Śnieżnej – ks. Jan Piwiński, a u św. Marii Magdaleny – ks. Zygmunt Truszkowski.

W 1948 r. wrócił z łagru w Riazaniu o. Rafał Władysław Kiernicki OFM i rozpoczął pracę w katedrze.

W 1949 r. zmarł ks. St. Płoszyński.

Ponieważ nie wolno było nauczać religii w kościele, nauka i przygotowanie dzieci do pierwszej Komunii św. odbywało się w domach prywatnych, co w pewnych okresach było połączone z niebezpieczeństwem utraty wolności dla tego, kto uczył, dzieciom zaś i rodzicom groziły szykany w szkole i w miejscu pracy, a nawet wyrzucenie z pracy. Parafie lwowskie i obwodu lwowskiego w Szczercu, Mościskach, Złoczowie i Pomorzanach, które także jeszcze w tym czasie były czynne, prowadziły akcję charytatywną na rzecz ludzi starych, samotnych, chorych, a także finansowały wysyłkę paczek z żywnością i odzieżą do łagrów sowieckich.

W latach 1950-52 zmarli kapłani: ks. Jan Piwiński, ks. Zygmunt Truszkowski.

W 1956 r. wrócili z łagrów ks. Zygmunt Hałuniewicz – kanclerz kurii lwowskiej, ks. Ignacy Chwirut – kanonik katedry lwowskiej i ks. Ludwik Seweryn SJ.

W 1958 r. nastąpił drugi wyjazd Polaków (repatriacja). We Lwowie niedługo po tym zamknięto kościoły Panny Maryi Śnieżnej i św. Marii Magdaleny. Zamknięto także w Pomorzanach. We Lwowie pozostały więc dwa kościoły: katedra i św. Antoniego. W obwodzie lwowskim kościoły w Mościskach, Szczercu, Nowym Mieście, Samborze, Dobromilu, Złoczowie, Stryju.

Na skutek likwidacji Cerkwi greko-katolickiej w 1946 r. wielu katolików wschodniego obrędku zaczęło uczęszczać do naszych kościołów i brać czynny udział w naszych nabożeństwach, odprawianych w języku łeckim i polskim. Postępi dwuzmianowci: spowiedź, chrzty, śluby, pogrzeby starano się prowadzić w dwóch językach – polskim i ukraińskim, spowiedź także w języku penitenta. Należy zaznaczyć, że władze państwowe zabroniły kategorycznie używania języka ukraińskiego w naszych kościołach. Istniejące we Lwowie try, a potem dwie polskie szkoły sprzyjały zachowaniu języka polskiego, a z nim ciągłości tradycji polskich i katolickich.

ły wysyłkę paczek z żywnością i odzieżą do łagrów sowieckich.

W latach 1950-52 zmarli kapłani: ks. Jan Piwiński, ks. Zygmunt Truszkowski. W 1956 r. wrócili z łagrów ks. Zygmunt Hałuniewicz – kanclerz kurii lwowskiej, ks. Ignacy Chwirut – kanonik katedry lwowskiej i ks. Ludwik Seweryn SJ.

W 1958 r. nastąpił drugi wyjazd Polaków (repatriacja). We Lwowie niedługo po tym zamknięto kościoły Panny Maryi Śnieżnej i św. Marii Magdaleny. Za-

mknięto kościoł w Pomorzanach. We Lwowie pozostały więc dwa kościoły: katedra i św. Antoniego. W obwodzie lwowskim kościoły w Mościskach, Szczercu, Nowym Mieście, Samborze, Dobromilu, Złoczowie, Stryju.

Na skutek likwidacji Cerkwi greko-katolickiej w 1946 r. wielu katolików wschodniego obrządku zaczęło uczęszczać do naszych kościołów i brać czynny udział w naszych nabożeństwach, odprawianych w języku łacińskim i polskim. Posługi duszpasterskie: spowiedź, chrzty, śluby, pogrzeby starano się prowadzić w dwóch językach – polskim i ukraińskim, spowiedź zawsze w języku penitenta. Należy zaznaczyć, że władze państwowe zabraniały kategorycznie używania języka ukraińskiego w naszych kościołach. Istniejące we Lwowie trzy, a potem dwie polskie szkoły sprzyjały zachowaniu języka polskiego, a z nim ciągłości tradycji polskich i katolickich.

Obecnie po zmianach, jakie nastąpiły w stosunku władz komunistycznych do spraw wolności sumienia i religii, w obwodzie lwowskim począwszy od roku 1988 zostało otwartych 57 kościołów.

W obwodzie tarnopolskim po tzw. repatriacjach pozostały czynne kościoły w Krzemieńcu, Borszczewie i Hałuszczyńcach, obsługiwane przez księży Jakuba Macyszyna i Bronisława Mireckiego. Po ich śmierci parafie objął ks. Markian Trofimiak wyświęcony w Rydze 1974 roku. Ponieważ w tym czasie naciski władz państwowych na kościół znacznie zelżały, więc ks. Trofimiak mógł wprowadzić do kościoła śpiewy i czytanie Pisma św. w języku ukraińskim, co było ogromnie ważne ze względu na greko-katolików, zwłaszcza na młodzież ukraińską, nie znającą języka polskiego.

W obwodzie tarnopolskim pracuje dwóch księży, absolwentów seminarium

ryskiego: ks. Markian Trofimiak i ks. Michał Jaworski, którym udało się otworzyć kościoły w następujących miejscowościach: Czortków, Mikulińce, Rydoduby, Strusów, Łosiacz, Jezierzany, Połupanówka, Skalał, Podwołoczyska, Zbaraż. Według obliczeń w tarnopolskim obwodzie uda się stworzyć jeszcze 17 parafii. Rówieński i łucki obwód, które ucierpiały najwięcej z powodu mordów ukraińskich w latach 1942-44, do 1961 roku posiadał placówki duszpasterskie w Równem, Ostrogu, Zdołbunowie i Korcu, obsługiwane przez o. Serafina Kaszubę, kapucyna. Kościoły w tych miejscowościach po 1961 r. zostały zamknięte, a o. Kaszuba wyjechał do pracy wśród wiernych do Kazachstanu.

Rodzin polskich rzymsko-katolickich na terenie Wołynia jest niewiele i one na przestrzeni minionych lat poddane były rusyfikacji lub ukrajinacji, niektóre z nich powróciły z zesłania już zrusyfikowane. Polacy-katolicy bywają w rodzinach mieszanych polsko-ukraińskich, polsko-rosyjskich. Większość dzieci tych rodzin języka polskiego nie zna. Strona polska w kościele tylko modli się po polsku, w języku ojczystym, zdarza się, że matka Polka nauczy dzieci polskiej modlitwy. Szkół polskich nie ma.

Po wyjeździe o. Kaszuby dojeżdżał do Równego i Lucka z posługą duszpasterską o. Rafał Kiernicki ze Lwowa, aż do chwili, gdy w 1988 r. objął parafię w Połonnem (za Zbruczem). Ks. Stanisław Szerokoradiuk, wyświęcony w Rydze, i on to zajął się parafiami Wołynia.

W ostatnich latach otworzyły się przed nami wielkie możliwości pracy duszpasterskiej na całym niemal obszarze Związku Radzieckiego. Obejmują one tereny: Płoskirów, Winnica, Kamieniec Podolski i okolice, gdzie otwartych jest w tej chwili 94 kościoły i pracuje 25 kapłanów wśród

nich 5 chrystusowców. Poza tym: Bukowina – 9 kościołów i 3 kaplice oraz 2 kapłanów; Mołdawia – 7 kościołów, 2 kapłanów; Zakarpacie – 44 kościołów, 13 kapłanów; Kijów i Fastów – kościół, kaplica i 1 kapłan; Odessa – 1 kaplica, 1 kapłan, Żytomierz i żytomierszczyzna, gdzie do dziś środowiska polskie i katolickie są najliczniejsze, otwartych jest 26 kościołów (w tym katedra) i pracuje 5 kapłanów. Z nieobjętych dotychczas pracą duszpasterską terenów Związku Radzieckiego zgłaszają się do nas rzymsko-katolicy z Humania, Krymu, Charkowa. Ogromnym polem pracy dla kapłanów i zakonów jest Kazachstan, miejsce przesiedleń Polaków z Ukrainy w latach 1936-38; wiemy o tym z listów i relacji kapłanów m.in. z Polski, pracujących wśród wiernych w Kazachstanie. Wielkie skupiska Polaków-katolików, niemówiących już przeważnie po polsku znajdują się Omsku, Tomsku, Irkucku i okolicach.

Organizując placówki duszpasterskie, otwierając zamknięte świątynie, obserwujemy zjawisko odradzania się wiary i polskości. Ludzie, żyjący przez ubiegłe lata w ucisku i strachu, niemogący otwarcie wyznawać swojej wiary i swojej przynależności narodowej, teraz garną się do Kościoła, do towarzystw polonijnych, polskiej książki i pragną łączności z krajem.

Szkoły nasze odradzają się dzięki wprowadzeniu języka polskiego do wykładów wszystkich przedmiotów, czego do tej pory nie było, i dzięki wprowadzeniu nauki religii do niektórych szkół w niższych klasach, a w kościele dla starszych dzieci i młodzieży.

Czynimy starania o powrót organizacji kościelnej na nasze tereny, o restytuowanie utraconej Metropolii we Lwowie i katolickiego kościoła ormiańskiego, o otwarcie lwowskich kościołów Ojców Bernardynów, Karmelitów i Domi-

nikanów. Byłoby rzeczą ze wszechmiar wskazaną, aby zakony, które miały swoje klasztory i kościoły na dawnych kresach Rzeczypospolitej, upomniały się o ich zwrot, zwłaszcza, że ogłoszona w Związku Radzieckim ustawa o wolności sumienia i organizacji religijnych daje im pełne prawo do rozpoczęcia takich starań.

Nawiązaliśmy kontakty z krajem i dzięki licznym przyjazdom duchowieństwa polskiego, którego jest u nas wciąż za mało, dzięki klerykom polskich seminariów duchownych, siostrom zakonnym, które rozpoczęły pracę w domach opieki społecznej, pomagają w nauczaniu religii i przygotowywaniu młodzieży i dzieci do czynnego udziału w liturgii, nasze życie katolickie i polskie odradza się.

Myślimy o organizowaniu starszego społeczeństwa w towarzystwach i wspólnotach katolickich, o urządzeniu pielgrzymek do kraju, a kiedyś i o zapraszaniu pielgrzymów ze świata do naszych sanktuariów we Lwowie, Milatynie, Lopatynie, Berdyczowie i Latyczowie.

Zwracamy się z prośbą do wszystkich ośrodków katolickich i polonijnych świata o współpracę z nami, pamięć o nas i pomoc w urządzeniu nowo otwartych świątyń, tworzących się szkół polskich i ośrodków działalności katolickiej i polonijnej.

ks. Ludwik Kamilewski

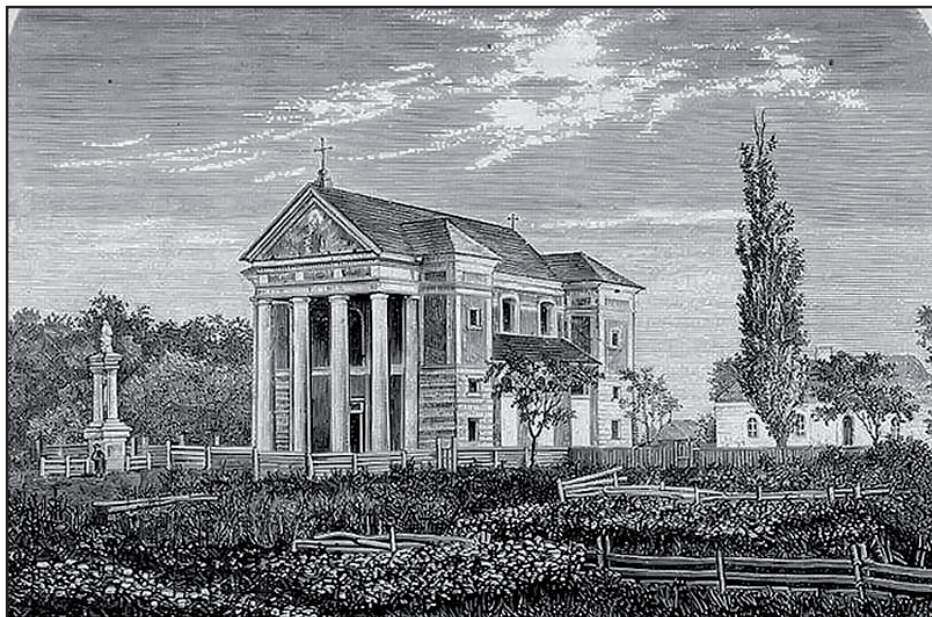
Lwów

Pierwodruk: Ks. Ludwik KAMILEWSKI, „Sytuacja Kościoła Rzymsko-Katolickiego na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej i Ukrainie po 1946 roku”, „Msza Święta” nr 1 (531) ze stycznia 1991 r., s. 21-23.



У нас на Во́лїни - У нас на Волині

NIEWIRKÓW



Kościół parafialny w Niewirkowie
– „Tygodnik Ilustrowany” nr 197 z 7 października 1871 r., s. 172

W II Rzeczypospolitej wieś leżała w gminie Międzyrzec, powiat Równe, woj. Wołyńskie nad Stawą, lewym dopływem Słuczy. Dojechać tu można od Międzyrzecza, starą brukiwką tzw. kocimi łbami. Wieś niegdyś zamożna z kościołem parafialnym i cudownym obrazem Matki Bożej Bolesnej dziś jest opuszczona. Kościół bez dachu porośnięty w środku krzakami bzu i pozostałością fresków przypominającymi, że były tu dzwony i serca Polaków wiernych mieszkańców tej świątyni przepędzonych stąd przez Ukraińców. Nie ma już w centrum wsi pięknego parku i rezydencji dawnych właścicieli, których świetność tak pięknie opisał Roman Aftanazy.

REZYDENCJA

Niewirków należał do bardzo dawnych osad wołyńskich. Pierwszymi odnotowanymi w kronikach właścicielami byli Ostrogscy. W 1620 r. wieś otrzymała w spadku córka ks. Aleksandra, Katarzyna Ostrogska, zamężna z Tomaszem Zamoyskim. W 1667 r. dziedzicem Niewirkowa został Stanisław Koniecpolski. Następnie majątek nabyli Walewscy, którzy odsprzedali posiadłość Lubomirskim. Z uwagi, że Lubomirscy tu nie mieszkali oddali majątek w zastaw Rokszyckim. W 1698 r. Mikołaj Rokszycki ufundował drewniany kościół i klasztor oo. dominikanów. W drugiej połowie XVIII w. Lubomirscy dobra sprzedali

Wyleżyńskim. W 1789 r. miała miejsce tragedia. Ignacy Wyleżyński, rotmistrz kawalerii wraz z żoną Anną z Bierzyńskich zostali zamordowani przez własnych poddanych. Kajetan Wyleżyński, brat Ignacego sprzedał dobra Janowi Steckiemu z Międzyrzecza Koreckiego. Jan Stecki, przekazał Niewirków w posagu swej córce Dorocie, zamężnej za ks. Józefem Lubomirskim. Józef Lubomirski wznosił nowy dwór nazywany pałacem z licznymi balkonami i pięknym parkiem. Około 1850 r., gdy Lubomirscy przenieśli się na stałe do Francji, Niewirków sprzedali Józefowi Młyńskiemu po którym majątek przejął syn Jan. W okresie międzywojennym Niewirków należał do bratanka Jana – Emanuela Młyńskiego, syna Michała z Bereznego, który mieszkał za granicą. Podczas I wojny św. dwór podupadł w ruinę. Przed 1939 r. mieścił się tu Korpus Ochrony Pogranicza. Podczas wojny stacjonowali w dworze Niemcy. Dzisiaj po zabudowaniach nie ma już śladu.

KOŚCIÓŁ

Ruina kościoła pw. św. Trójcy w Niewirkowie w opłakanym stanie znajduje się w centrum wsi. W latach (1698-1832) przebywali tu OO. Dominikanie. Budowniczym pierwszej, drewnianej świątyni oraz klasztoru OO. Dominikanów w 1698 r. był – podczaszy trocki Mikołaj Rokszycki. Nowy murowany kościół klasycystyczny, ufundowali – chorąży koronny Jan Stecki i hrabina Barbara Olizarowa z d. Rajewska. Świątynię konsekrował w 1808 r. biskup Cieciszowski. Zdaniem Romana Aftanazygo projektantem był wspaniały architekt Szymon Bogumił Zug, o którym mawiano „ozdobił Warszawę”. Roman Aftanazy w „Dziejach rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej” przytacza opis: „Zgodnie z zachowanymi szkicami świątynia ta miała być początkowo dużo wspanialsza, z sześciokolumnowym portykiem, trójna-

wowym wnętrzem i obszernymi gmachami klasztorowymi, przeznaczonymi dla oo. dominikanów. Projekty te z jakowychś powodów nie zostały jednak zrealizowane. Fundatorzy zdecydowali się na świątynię dużo skromniejszą, wzniesioną na planie prostokąta, z portykiem tylko czterokolumnowym zwieńczonym gładkim trójkątnym frontonem, nakrytą dachem czterospadowym. Nad ujętymi w skromny portal drzwiami wejściowymi umieszczono tablicę z napisem «Z DARÓW TWOICH TOBIE BOŻE OFIAROWUJĘ 1807 Jan Stecki»”. Romania B. (na której opis powołuje się R. Aftanazy) określiła wnętrze kościoła jako „ubogie, gzymś pospolitej roboty, gładkie słupy dźwigające chór, cztery filary dzielące kościół na trzy części i siedem ołtarzy”. Pod jednym z nich pochowana została Barbara Olizarowa. W kościele umieszczone było również serce Jana Steckiego zamknięte w złotej puszcze. Kościół odnowił w 1927 r. ze składek parafian proboszcz ks. Stanisław Jadczak. Ostatnim proboszczem był ks. Henryk Dyakowski. Ks. Dyakowski opuszczając parafię zdołał zabrać kilka ornatów, kapy i część naczyń liturgicznych (obecnie w WSD w Nysie). Po Powstaniu Listopadowym w 1831 r. klasztor został zlikwidowany, a świątynia została przekształcona w kościół Bożego Ciała. W czasach radzieckich budynek świątyni służył jako magazyn zboża.

Z całego wnętrza zachowały się tylko dwa freski w bocznych nawach, również naznaczone śladami po pociskach. Jeden przedstawia Chrystusa z napisem «Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami», drugi – Najświętszą Maryję Pannę z napisem «Serce Maryi, ratuj nas».

MATKA BOSKA BOLESNA I CUD

Ikony Matki Boskiej Bolesnej umieścił w 1698 r. wspomniany budowniczy kościoła Mikołaj Rokszycki. Już wkrót-



ce obraz zastąpił wieloma uzdrowieniami. Do cudownego obrazu Matki Boskiej Bolesnej łaskami słynącymi zmierzały pielgrzymki z każdych stron Wołynia. Wanda Kluza córka Mariana Fiłończuka, kościelnego jednego z braci, którzy uratowali cudowny obraz, wspominała, że ojciec wiele razy opowiadał o uzdrowieniach, które dokonały się przy tym obrazie. Modlili się tu chrześcijanie różnych wyznań.

W 1943 r. banderowcy napadali na kościół i plebanię, oraz okoliczne domy. W kościele schronili się mieszkańcy i uciekinierzy z pobliskich miejscowości. Przez kilka dni banderowcy oblegali świątynię, bezskutecznie próbując ją podpalić. Ataki odpierali strzałami z karabinów członkowie samoobrony ukryci między dachem, a frontonem zwieńczającym czterokolumnowy portyk, oraz z okopów przy kościele. Banderowcy podłożyli minę na plebanii. Na skutek wybuchu została ranna jedna osoba. Po pewnym czasie banderowcy wycofali się, zabijając nieznaną liczbę

Polaków. Liczba ofiar ustalona przez Władysława i Ewę Siemaszko jest na 10 (sic!) osób. Po tym napadzie miejscowa ludność była przekonana, że to kolejny cud za wstawiennictwem Matki Bożej. Bracia Marian i Antoni Fiłończuk opuszczając Wołyń spakowali do skrzyń obrazy Matki Bolesnej oraz Matki Bożej Różańcowej. Aby przezwieźć je przez granicę, obłożyli bagaż siemem, na skrzyni z obrazem zrobili postanie dla dzieci. Wykazali wielką odwagę mając świadomość, że odkrycie ikon groziło zesłaniem na Sybir. Obraz obecnie znajduje się w kościele w Świątnikach na Dolnym Śląsku.

KSIĄDZ JÓZEF ALEKSANDROWICZ

W latach 1928-1935 proboszcz parafii Niewirków zamordowany wraz z 76-ma parafianami przez OUN-UPA 11 lipca 1943 r. podczas porannej Mszy św. w kościele w Zabłotcach.

Ksiądz Józef Aleksandrowicz urodził się w 1869 r. w Kochanowicach k. Witebska (dzisiejsza Białoruś). Seminarium duchowne ukończył w Żytomierzu. Zaraz po święceniach w 1893 r. objął funkcję wikariusza w katedrze żytomierskiej. Następnie był administratorem parafii Chabne (dziś Poliske) k. Radomyśla, proboszczem w Sławucie, administratorem w parafii św. Józefa w Zasławiu. W 1919 r. aresztowany przez sowiecką policję GPU trafił do więzienia Nowospasskie i Butyrki w Moskwie. Wrócił do Polski w 1924 r, w ramach wymiany więźniów politycznych i szpiegów rosyjskich między Polską, a ZSRR. Kolejno posługiwał jako administrator parafii w Jałowicach niedaleko Łucka, był kapelanem Sióstr Apostolek Miłości Eucharystycznego Serca Jezusowego, a następnie pracował w Kowlu i Potasznii dekanat Kostopol. W latach 1928-1935 był proboszczem parafii Niewirków. W czerwcu 1935 r. został mianowany proboszczem

parafii Zabłotce w dekanacie włodziemskim, a trzy lata później również administratorem parafii Litowiz. Podczas mordy miał 74 lata. Miejsce spoczynku księdza nie jest znane.

KSIĄDZ KANONIK HENRYK (ARKADY) DYAKOWSKI (1904-1972)

Kanonik kapituły łuckiej. Ostatni proboszcz w Niewirkowie. Urodził się 16 lutego 1904 roku. Świecenia kapłańskie w obrządku bizantyjsko-słowiańskim przyjął w 1929 roku. W latach 1930-1932 był proboszczem parafii obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Żabczu w diecezji łuckiej, gdzie wybudował cerkiew drewnianą pw. Pokrovy Najświętszej Maryi Panny. Parafię w Niewirkowie objął już jako kapłan rzymskokatolicki w diecezji łuckiej. Był tu ostatnim proboszczem. Równocześnie pełnił funkcję administratora parafii Bystrzyce. W czasie wojny udawał się z odwiedzinami duszpasterskimi do Zwiahla (dziś Nowogard Wołyński). W nocy z 24 na 25 czerwca 1943 banderowcy OUN UPA otoczyli kościół i plebanię w Niewirkowie. Po zniszczeniu plebanii schronił się u księdza Kazimierza Gaworskiego w Międzyrzeczu Korckim późniejszego rektora Seminarium Duchownego w Nysie. 19 sierpnia 1943 zwrócił się bpa Adolfa Piotra Szelażka o udzielenie urlopu i o dokument pozwalający wyjechać do diecezji przemyskiej. Jesienią 1943 opuścił Wołyń. Po wojnie pracował w diecezji tarnowskiej i gnieźnieńskiej. Pracował między innymi w Powidzu. W 1961 przybył do diecezji warmińskiej gdzie był proboszczem i dziekan w Morażu. Zmarł w szpitalu w Gdańsku 5 lipca 1972 roku. Pochowany został w Morażu.

BISKUP JAN BAGIŃSKI (1932-2019)

Urodził się 31 maja 1932 r. w niewielkiej wsi Kamionka parafia Bereźne, niedaleko miejscowości Bystrzyce, które należa-

ły do parafii Trójcy Świętej w Niewirkowie. Jak sam wspomina przed obrazem Matki Bożej Bolesnej z Niewirkowa był chrzczony, pierwszy raz przyjął Komunię Świętą, sakrament bierzmowania. Jako 11-letni chłopiec był świadkiem mordów na Polakach ukraińskich banderowców OUN-UPA.

Po ekspatriacji rodzina Bagińskich trafiła najpierw do Chełma Lubelskiego, by w końcu po kresowej Odysei trafić do Opolu. Tu przyszły biskup uzyskał świadectwo dojrzałości w II Męskim Liceum Ogólnokształcącym. Po maturze wstąpił do seminarium. Niewątpliwym wpływem na powołanie jak wspominał biskup miał nauczyciel religii, ks. Kazimierz Gaworski. Ksiądz Jan Bagiński święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 17 czerwca 1956 r. z rąk biskupa częstochowskiego Zdzisława Golińskiego. Po święceniach przez dwa lata pracował jako wikariusz w parafii św. Mikołaja w Pyskowicach, następnie w Nowej Wsi Królewskiej. W 1959 r. bp F. Jop mianował księdza Jana prefektem alumnów w Seminarium Duchownym. W seminarium prowadził także zajęcia z lektoratu języka łacińskiego. Był cenionym rekolekjonistą. W latach 1973-1976 r. pełnił funkcję wicerektora Wyższego Seminarium Duchownego w Nysie. W 1976 r. został mianowany proboszczem parafii Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Kluczborku. Dnia 16 lipca 1985 r. Ojciec Święty Jan Paweł II mianował go biskupem pomocniczym w Opolu ze stolicą tytularną, Tagarata w metropolii Kartaginy. Odszedł do Pana w swoim mieszkaniu przy ul. Kardynała Kominka w 5 niedzielę Wielkanocy, 19 maja 2019 roku.

UCIECZKA PRZED BANDEROWCAMI

Kamionka – Rudnia Pogryłowska – Bystrzyce – Bronisława – Niewirków – Chełm Lubelski – Opole

Kamionka była kolonią w gminie Be-rezne, powiat Kostopol, woj. wołyńskie. Biskup Jan Bagiński podczas uciezki przed banderowcami miał 11 lat. Wiedział, do czego są zdolni banderowcy. Część rodziny Bagińskich wyrżnięto w niedalekich Jezierzach (Ozirce), 16 grudnia 1942 roku. Pacyfikacji dokonali policjanci ukraińscy pod dowództwem kilku Niemców mordując od 360 do 500 Polaków. Uciekał razem z dziadkiem, babcią, rodzicami, stryjem Kazimierzem z żoną i trójką ich dzieci, oraz dwiema siostrami ojca. Chłopiec pamiętał wujka, który wówczas przeżył. Wszedł do chaty, stał trzymając w rękach zakrwawione włosy żony. Kiedy doszedł do pełni rozumu, opowiadał, że na stosie ciała leżała jego żona, zastrzelona, z maleńkim synkiem. Dlatego kiedy Rodzinę księdza Jana ostrzegł Ukrainiec Makar Najstruk przysłał kilkunastoletnią córkę z ostrzeżeniem „*idą bandyci uciekajcie, zebrali co było pod ręką i uciekali*”. Z Kamionki oprócz Bagińskich uciekła jeszcze jedna rodzina. Banderowcy otoczyli kolonię i wszystkich Polaków wymordowali w tym rodzinę Burawskich, siedem osób. Z rodziny Babińskich została tylko prababcia. Powiedziała, że takiej staruszki nie zabiją. Zamordowali ją zadając rany nożem. W ucieczce okazywali życzliwość też inni Ukraińcy, często przypłacając to życiem. Ukrainiec Nieczypor dał się przekonać za dobytek i odwiózł Rodzinę Gdowskich do Kostopola. Nieczypora, żonę i córkę z zięciem i dwójką wnucząt banderowcy udusili sznurem. Tymczasem Bagińscy uciekali w kierunku miejscowości Bystrzyce położonej nad rzeką Słucz. Mijając Rudnię Pogryłowska, Bagińskich ostrzegł ukraiński gospodarz, który ukrył ich w stodole. Przejeżdżającym na koniach banderowcom skłamał, że Polacy tędy szli. Ukraińcy popędzili, co sił w końskich kopytach. Ba-

gińscy uciekali dalej. Przekroczyli rzekę Słucz i skierowali się na polską wioskę Bronisława. Tu przebywali kilka następnym miesięcy. Czuli się bezpieczni, bo w kilku wsiach działała samoobrona i AK-owcy. Którejś grudniowej nocy, wspomina Biskup Jan banderowcy z miejscowymi Ukraińcami nazywanymi rezonami zaatakowali polskie wioski. Gdy już znaleźli się niedaleko naszych Polaków okopanych w lasku, krzyknęli po ukraińsku: „*hurra, rezat' Lachow!*”. Obrońcy mieli broń maszynową i odpierali atak ponad 500-set banderowców. Na pomoc przybyli partyzanci rosyjscy. Wspólnie zwycięstwo świętowany w położonym kilka kilometrów Zawłoczach partyzanci rosyjscy z ukrycia podczas przyjęcia aresztowali dowództwo akowskie, w tym kapita-na Władysława Kochańskiego „Bombę”. Zastrzelili ochronę, a oficerów przewieziono do Moskwy. Schorowany Kochański wrócił do Polski w 1956 roku.

Ryszard Frączek
kontakt@naszekresy.pl

Literatura:

Władysław i Ewa SIEMASZKO, „*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów Ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*”, t. 1, Warszawa 2008, s. 700-701.

Ks. Rafał KOWALSKI, „*Ten obraz nosimy w sercu*”, „Gość Wrocławski” 37/2012.

Piotr ZYCHOWICZ, „*Ukraińcy, którzy ratowali Polaków*” (fragment), „Rzeczpospolita” nr z 25 października 2010 roku.

Marcin BARTNICKI, wywiad z Biskupem Janem Bagińskim // *Wirtualna Polska* [dostęp 2 grudnia 2013 r.].

Roman AFTANAZY, „*Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*”, t. 5, „*Województwo wołyńskie*”, 1994, str. 300-301.